

ERKKI KARIO

**PRZESTĘPSTWO
PASTORA**

z jęz. fińskiego tłumaczyła
KAZIMIERA MANOWSKA

INSTYTUT WYDAWNICZY PAX 1980

TYTUŁ ORYGINAŁU FIŃSKIEGO
PAPIN RIKOS

PROLOG

Rękojeść noża zaciskał tak mocno, aż palce zbieleły. Ostrze było jeszcze we krwi. Położył nóż na stole i rozejrzał się.

Zroszone potem czoło otarł ręką zostawiając na nim krwawy ślad.

Martwa kobieta leżała na łóżku. Lewa jej noga zwisała nad krawędzią, prawa wyciągnięta była na pościeli.

Podszedł, poprawił jej ciało. Ostrożnie obciągnął i wygładził spódnice.

Wszędzie pełno było krwi. Na poszarpanej bluzce, na łóżku, na podłodze.

W pokoju rozgardiasz – przewrócone krzesła, ściągnięty dywan, sterta brudnych naczyń.

Mężczyzna spojrział na kobietę i głęboko westchnął.

Oczy i usta miała otwarte. Na twarzy zastygł wyraz zdumionego przerażenia.

Ręka mu drżała, kiedy nachylał się, by przymknąć jej oczy. Chciał unieść podbródek, żeby domknąć usta, ale szybko cofnął się.

– Mój Boże, tego za wiele – jęknął.

Rozejrzał się i cofnął do wyjścia.

Staął.

– Nie mogę jej tak zostawić – szepnął i zawrócił.

Nachylił się. Wyciągnął z komody kołdrę, ostrożnie nakrył nią ciało i twarz kobiety.

Znowu podszedł do drzwi, raz jeszcze spojrzął na pokój.
Już po wszystkim, a on nigdy nie zapomni tego widoku.
Patrzył na ręce, nie widział na nich krwi.
Otworzył drzwi i wyszedł.

1

Bestialski mord, dokonany na młodej ekspedientce w miasteczku N., wzbudził sensację. Prasa tłustymi czcionkami podkreślała, że zabił pastor i że przyznał się do winy. Poinformowano, że funkcji pastora zrzekł się wcześniej, a tuż przed zbrodnią przybył do miasteczka, gdzie pędził bujne i lekkie życie. Kościół był właśnie pod szczególnym ostrzałem prasy, historia ta była więc nie lada atutem w ręku wroga. Dzienniki krzyczały, iż upadek pastora odzwierciedla powierzchowność i wewnętrzną pustkę kleru.

Jak zwykle, z każdej szpalty wyzierało dyletanctwo. Ja osobiście nigdy nie uważałem księży za ludzi specjalnego gatunku. Moim zdaniem są to idealisci, najczęściej ludzie bardzo wrażliwi. W większości nie potrafią chłodno rozumować i beznamytnie prowadzić naukowych dociekań, chociażby na temat teorii względności.

Tak więc fakt, że morderstwo popełnił jeden z tych ludzi, nie był dla mnie gromem z jasnego nieba. Może nawet trochę współczułem człowiekowi, na którego posypała się lawina artykułów. Co za różnica, kto popełnia zbrodnię – pastor, sędzia, kierowca, kupiec czy ktoś inny?

Byłem w tym okresie pod wpływem agnostyków, zwłaszcza kiedy po jednym głębszym zaczynałem filozofować, zgadzałem się z nimi najczęściej. Dochodziłem do wniosku, że życie pozbawione jest sensu, a jedyne siły napędowe to egoizm i materializm.

Nie wierzyłem w ludzi. Nie rozdzierałem więc szat, kiedy jeden z nich, w tym wypadku pastor, zaplątał się w jakąś kabałę. Przecież to zwykła rzecz. Wystarczy się rozejrzeć.

Takie jest życie. I na pewno guzik by mnie to obchodziło, gdyby nie mój zawód.

Mam na koncie parę książek i jakieś opowiadania. Nic szczególnego. Po prostu trzeba z czegoś żyć.

Nie mam złudzeń co do poziomu mojego dorobku. Najczęściej pisałem nieco zamroczony alkoholem. Wtedy człowiek ma jakby lżejszą rękę i przy niewielkim wysiłku zdaje mu się, że tworzy coś nowego i oryginalnego. Powstają papierowe brednie, a skoro dorzucisz do nich garść cudzych myśli, zyskasz na pewno aplauz krytyków. I ludzie czytają. Kiedy człowiek nie chce widzieć własnych grzechów i żyje na cudzy koszt, może odczuwać patologiczną rozkosz w rozgrzebywaniu ludzkiego łajna.

Ma to swoje uzasadnienie.

Heroizmem jest oprzeć się rwącemu potokowi brudów, gdzie prym wiedzie kołtuństwo, pruderia i zakłamanie. Z całego serca nienawidziłem tego ohydneho, fałszywego świata i jego mieszkańców. I siebie.

Dobre sobie – pokiwacie głowami. – Typowy artysta, który rodzi w bólach. A ty czujesz się jak zbity pies, który nigdzie nie może znaleźć miejsca.

Jeśli idzie o Kościół, z bliska widziałem tylko jego fasadę. W dzieciństwie należałem przez parę miesięcy do Armii Zbawienia. Dostałem w darze niebieską koszulę, gryzącą niemiłosiernie, i jakąś chustę. Może była też i czapka, już nie pamiętam. Najbardziej utkwiała mi w pamięci skórzana sprzączka do ściągania chusty. Jeszcze dziś czuję jej zapach.

Dawali nam też kartony do wyklejania gwiazdami. Kiedy gwiazd było dosyć, wtykali w nagrodę jakieś idiotyczne obrazki. To wszystko zakrawało na kpiny, ale wielu dało się nabrać.

Wrażenia te nie pogłębiły mojej wiary. Wyrobiłem sobie własny pogląd na podobne sprawy i ku rozpaczy rodziców zaniechałem praktyk religijnych. Sądziłem, że Kościół nic mi nie dał i nic od niego nie oczekiwałem. Uważałem go za jeden z filarów zakłamanego, kołtuńskiego, dwulicowego świata. Nie byłem wrogiem tej instytucji, twierdziłem tylko, że daje schronienie dobrodusznym, skłóconym z życiem prostaczkom.

Jeśli człowiekowi sprawa religii jest zupełnie obojętna, czemu podnosi larum, gdy innych obdarza ona spokojem?

Trzeba szanować wolność wyznań.

Kiedyś pasjonowałem się dyskusjami neohumanistów i ateistów, którzy zwą siebie wolnomyślicielami, bo za cel życia obierają walkę z Kościołem. Cóż, kiedy nawet po kielichu jasno widziałem, że na miejsce religii nie dają nic pewnego. „Założmy, moi mili – mówiłem – że macie zielone światło i możecie budować społeczeństwo zgodnie z waszymi koncepcjami. Czy naprawdę sądzicie, że wasze rozwiązania będą idealne? Bardzo szybko znajdziecie się w punkcie, z którego wystartowaliście. Jedni będą postępować bardziej, inni mniej sprawiedliwie. Znowu jedni będą uciskać, inni będą uciskani. I nie jest wykluczone, że jeśli odrzucicie religię zastępując ją własnymi mętnymi frazesami, ludzie najprostszy ucierpią najbardziej. W idealizmie dobre jest przynajmniej, że uczy myślenia nawet tych, co do niczego podobnego nie nawykli.

Zresztą – mówiłem dalej – gdybyście jakimś cudem osiągnęli raj na ziemi, gdzie wszystko jest »naj«, gdzie panuje pokój, a ludzie są dla siebie dobrzy i wyrozumiali, ja pierwszy uciekłbym stamtąd do prawdziwego życia.”

Nie osiągnąłem więc spokoju. Piłem campari i płakałem bez łez. Kląłem idealistów, utopistów i wszystkich reformatorów świata.

Udało mi się wydać jedną książkę, ale żyłem z dziennikarstwa. Raz próbowałem być żonaty – niezbyt fortunnie: moja partnerka znalazła sobie lepszego. Jej obecny mąż jest kierownikiem stacji benzynowej. Mają dzieci, domek i samochód. Czegóż jeszcze można oczekiwać od życia?

Któregoś dnia zadzwonił do mnie kierownik działu literackiego jednego z wydawnictw i poprosił o rozmowę. „Wpadnij, jeśli nie masz nic lepszego do roboty” – powiedział.

Oczywiście, że „wpadłem”. Doskonale się orientował, że „warsztat” mam pusty. Niedawno wybrałem resztę forsy z jego wydawnictwa.

Siedział zawalony książkami i jak zwykle nieobecny dla pisarzy, którzy nagabywali go o zaliczkę. Muszę przyznać, że miał „nosa”, jeśli idzie o rynek literacki. Jest to niezmiernie ważne w sytuacji, gdy wciąż trzeba podejmować ryzyko. Nieraz książka bardzo obiecująca ponosi całkowitą klęskę, a inna, na którą nikt nie liczył, staje się bestsellerem.

Zdarza się.

Był okres mody porno. Takie książki robiły furorę. Ale w końcu jedna klika zawojowała większość wydawnictw i coraz trudniej było się tam dopchać. Kiedy indziej był znów popyt na politykę i wspomnienia. Rzeczywiście, niełatwo być wydawcą. Czytelnik bywa chwiejny i kapryśny. Nawet zgrany chór krytyków nic tu nie wskóra.

Zza sterty książek mój znajomy rzucił mi zwój wycinków prasowych.

– Znasz to? – zapytał.

Zauważyłem, że artykuły dotyczą zabójstwa ekspedientki.

– Oczywiście – powiedziałem. – Przynajmniej wiem, o co chodzi, bo dokładnie tego szamba nie studiuje. Człowiek, nawet gdyby chciał, nie ominie tego. Tłustymi czcionkami wybite tytuły, podtytuły. Uruchomili cały arsenał drukarski. „Pastor – wcielony diabeł” – ależ to materiał dla łowców sensacji!

– Dysponujesz pełnym materiałem – powiedział szef – a poza tym puszczaj wodze fantazji. Dowiedziałem się, że pastor miał opinię zdolnego kaznodziei, jednego z tych, jakich nazywają ewangelistami. Właśnie, miał powołanie, został pastorem. Przecież wyświęcają ich w kościołach. Prymicje przypominają przedstawienia teatralne. A potem w parafii taki człowiek staje się pępkiem świata. Chodzi jak paw po zagrodzie i tylko głową kiwa, raz tu, raz tam. Spójrz, już choćby ten fragment wystarczy za temat. Ale ja chcę dotrzeć głębiej. Chcę poznać tło i źródła wydarzeń.

– Na co ci to? – spytałem, choć dobrze znałem odpowiedź. Węszył tu niezłą forszę. Ale czy szło tylko o to?

– Trzeba zdobyć więcej informacji – mówił. – Musimy znaleźć prawdę.

Nonsens – pomyślałem. – Kościół ani chrześcijaństwo nie stanowią tabu. Jeśli udowodnimy błąd, rzeczą ludzką jest osądzić takie postępowanie. Czym Kościół różni się od świeckich instytucji społecznych? Czuję jednak niepewność rozmówcy. Renegaci na ogół gorliwie brudzą w gniazdach rodzinnych. Chcą zakamuflować swoje wahania.

Zresztą jest mi to obojętne.

To był chyba główny powód, że się zgodziłem. A może przemogła zwykła ludzka ciekawość? Skoro przyjąłem honorarium, czemu nie miałbym się podjąć analizy czyjegoś życia? Nic mnie to nie kosztuje, a wynik nie ma znaczenia. Zbiorę materiał, przekażę go i umyвам ręce.

Umyвам ręce. Jak kiedyś Piłat. I wydam człowieka na ukrzyżowanie. Taka patetyczna metafora rozśmieszyła mnie. Przecież nie jestem władcą Judei. Ani pastor Jezusem. Chociaż ludzie dzisiaj wcale nie są inni. Niestety.

2

Sprawa toczyła się w sądzie. Poszedłem tam, chociaż z góry wiedziałem, że będą grali na zwłokę.

Zeznania oskarżonego rozczarowały mnie. Sądziłem, że znajdę coś barwnego, pasjonującego, a tymczasem ujrzałem spokojnego, zmęczonego mężczyznę, który monotonnym głosem odpowiadał na pytania.

Obrońca często zabierał głos.

Nie mogłem jednak przejrzeć linii jego obrony. Najprostsze byłoby zażądać przeprowadzenia badań psychiatrycznych. Nie miałem wątpliwości, że to nastąpi. Sąd będzie miał trudne zadanie: określić wymiar kary jest w takiej sytuacji bardzo ciężko. Rutyna zawodowa nakazuje niektórym żądać najwyższego wyroku. Natomiast sędziowie bardziej wrażliwi głosują za łagodnym wymiarem dla tych, którzy i tak „swoje przeszli”. Dziennikarze wszystko wyłapią.

Zespół sędziowski miał więc twarde orzech do zgryzienia.

Pierwszy dzień rozprawy minął gładko. Dowody były jasne, niezaprzeczalne. Oskarżony nie oponował. Niemniej zarówno oskarżyciel, jak i obrońca zażądali dodatkowych zeznań i dlatego sprawę odroczone prawie o miesiąc.

Sąd orzekł oficjalny areszt oskarżonego i odprowadzono go, by kontynuować śledztwo.

Na tym sprawa stanęła.

Próbowałem skontaktować się z pastorem, ale bez skutku. Nie chciał ze mną rozmawiać. Proponowałem, żeby wszystko opisał, obiecywałem bajońskie honorarium, ale na próżno. Nic do niego nie docierało.

Postanowiłem więc osobiście zebrać materiał, potrzebny mi do „analizy człowieka”.

Wtedy wierzyłem, że można to zrobić.

Do miejscowości N. pojechałem w ostatnich dniach maja. Byłem wściekły, jak zwykle, kiedy miałem przed sobą trudną rozgrywkę. Po jakie licha mieszam się w tę kabałę? Z drugiej strony – forsa to ważny argument. Żeby się tak człowiek kiedyś uniezależnił i zajął czymś naprawdę wartościowym!

To znaczy czym?

Niosąc w ręku lekki neseser, ironicznie się uśmiechałem. Od kiedy to szary człowiek zastanawia się nad wartością i sensem życia? Przecież dobrze wie, że poza namacalną rzeczywistością niczego nie znajdzie. Wszystko inne to złudzenie.

Wstąpiłem do kafejki. Wewnątrz zwykła lada z kasą, za szybą kilka obeschniętych ciastek, bułek i parę torebek cukierków, papierosy, czasopisma, no i klasyczny dar Ameryki dla fińskiej kultury – potężna grająca szafa ze złożonymi ozdobami. Papierowa girlanda nad oknem i kelnerka, tępa, bez wyrazu, surrealistycznie wkomponowana w całość.

W Finlandii znajdziesz tysiące podobnie tuzinkowych café-barów w podobnie tuzinkowych osiedlach. Są tak samo pozbawione wyrazu i oryginalności. Czy ta forma usług nie dopuszcza udziału wyobraźni?

Kiedy przypomniałem sobie winiarnie w południowych krajach i ich gospodarzy, krzątających się wśród rozgwaru gości, w szumie rozmów, kiedy wróciło wspomnienie przytulności tamtej atmosfery, niemal łąza zakręciła się w oku.

Do licha! Czemu się dziwią, że ludzie stąd uciekają?

Kelnerka zaprowadziła mnie bocznymi drzwiami na korytarz, skąd po schodach wszedłem na piętro. Tutaj był mój pokój. Jeden z czterech, jakie mieściły się w tym hoteliku. Na stole okruchy bułki po jakimś gościu, ściany i podłoga wyklejone płytami. Umywalka jednak była, a pościel wyglądała czysto. To wszystko. Dzięki Bogu, nie powiesili obrazków. Zadrzałem na myśl o ich poziomie.

Marynarkę rzuciłem na łóżko, z nesesera wyjąłem butelkę whisky i pociągnąłem. Na zębach poczułem smak alkoholu i ciepło. Niech żyje fińska prowincja i monopol państwowy! Tutaj, w zabitym dechami świecie, upojenie i zachwyty nad życiem nie mają granic. Na zdrowie!

Pastor, który się stąd wywodził, ten biedak z piekła rodem, wydał mi się bardzo bliski.

Popołudnie miałem rozpocząć od rozmowy z nowym duszpasterzem.

Niespokojnie pokręciłem się na łóżku, wstałem i postanowiłem zejść do baru. W rogu przy stolikach siedziało parę dziewczyn w mini i szeptem zwierzało sobie tajemnice. Dzięki Bogu milczała święta krowa fińskiej muzyki barowej. Zająłem miejsce koło okna. Kelnerka bez cienia uśmiechu podała mi filiżankę kawy.

Nie jestem zbyt towarzyski. Ponieważ jednak obok siedział samotnie jakiś człowiek przy butelce pilznera, postanowiłem zagaić. Podeszedłem, ukloniłem się i zagadnąłem o lokal. Odpowiedź dał niespieszną, ale dość obszerną. Przyglądał mi się.

– Pali pan?

– Tak, dziękuję. Więc przyjechał pan...

Zapalił, puścił dym i dokończył:

– Pewnie na lotnisko?

Wyjaśniłem, że będę tu parę dni i zatrzymałem się w hotelu na górze.

– Sprawy handlowe, co?

– Właściwie nie. Jestem dziennikarzem. A w waszej parafii wybuchła sprawa pastora, więc chcę się rozejrzeć, poznać środowisko, życie. Znał go pan?

Zauważyłem, że temat mu się nie podoba.

– Raczej znałem. Mniej więcej.

– Był lubiany?

– Zależy. Dokładnie nie powiem. Przecież pastor ma zawsze swoją trzodę.

– Czy to był szok dla miejscowych?

Mężczyzna opróżnił kufel i chwilę milczał. Potem zaczął szykować się do wyjścia. Ruszając już odwrócił się do mnie i powiedział: – Lepiej, żeby pan o tym nie pisał. – I dodał jakby na usprawiedliwienie: – Na pewno lepiej. Wtykanie nosa nikomu na dobre nie wyszło.

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Już był przy drzwiach, ani się obejrzał.

Zobaczyłem, że dziewczyny przy stolikach przestały szeptać i nadstawiły uszu. Ale kiedy na nie spojrzałem, odwróciły głowy.

Atmosfera stała się ciężka, dławiąca.

Wyszedłem z baru i zacząłem szukać plebanii. Denerwowałem się. Powinna być na wzgórzu koło kościoła. Jest! Zabudowania otaczał piękny park, którego urok był teraz w pełnym blasku. Na podwórku rzucona hulajnoga i lalka przed wejściem do kuchni świadczyły, że obecny pastor ma rodzinę.

Pierwsze wejście było otwarte. W sieni zapukałem. Otworzyła młoda uśmiechnięta kobieta ubrana po domowemu.

Przedstawiłem się. Byłem umówiony telefonicznie. Pani domu zaprowadziła mnie przez dużą sien do pokoju, który pełnił funkcję gabinetu pastora i kancelarii parafialnej.

Za chwilę wszedł pastor. Był nadszpiegowany młody, ostrzyżony na jeża. Taki energiczny typ sportowca zawsze działał mi na nerwy.

Przywitałem się. Przeprosiłem, że sprawiam kłopot.

– Nie szkodzi. Bardzo proszę, niech pan siada. Żona, Eila, coś przygotuje, żebyśmy spokojnie porozmawiali. Kawa będzie za moment. Pozwoli pan?

Skinąłem głową.

– Tak więc chodzi o pastora Kettunena. Prawdę mówiąc, paskudna sprawa. Jestem tu od paru tygodni, nawet rzeczy nie zdążyłem rozpakować. Właściwie nie wiem, w jaki sposób mógłbym panu pomóc, choć nie chciałbym odmawiać. Z prasą lepiej żyć w zgodzie.

Twarz miał szczerą, uśmiech otwarty, jak człowiek o szerokich koneksjach. Nadawałby się do pracy w reklamie.

Przystąpiłem do rzeczy.

– Chodzi mi o zebranie materiału na temat tragicznych wydarzeń. Szczególnie interesuje mnie tło. Jak to się zaczęło? Jak zostało skomentowane przez miejscowych? Będę ogromnie zobowiązany, jeśli się dowiem, z kim należałoby porozmawiać.

– Przede wszystkim z organistą. I z ławnikiem Karttunenem. To centralne postacie parafii. Jest ich więcej. W takiej dziurze każdy ma kontakt z pastorem. No więc doktor Sundman, nazywają go tu Suntus. O ile wiem, znał pastora już wcześniej, nim go tu przysłano. Byli chyba kolegami z ławy szkolnej. Doktor opiekował się też panią Leną, która przy porodzie... Tak, chyba pan wie. Żona pastora zmarła w okolicznościach tragicznych. I od tego się właściwie zaczęło. Jak więc powiedziałem, każdy może coś na ten temat dorzucić. Na takim bezludziu... Przecież to straszna tragedia. Naturalnie, że badali i wątkowali na wszystkie strony. Osobiście nie znałem pastora. Może i widywałem go na jakichś zebraniach. Był ode mnie dużo starszy, więc ze studiów go nie pamiętam...

Stawiałem jakieś pytania i notowałem raczej dla pozorów. Piszę bowiem gładko, opierając się bezpośrednio na swoich wrażeniach, rzadko korzystam z notatek.

– Parafia była tutaj jak słyszałem, bardzo prężna, aktywna. Kettunen, znany jako świętyni mówca, wygłaszał kazania również w innych kościołach. Był, jak to się mówi, łowcą dusz. Budził umysły ludzkie nieraz aż nachalnie, naszym zdaniem to był błąd. Powiadają, że po śmierci żony właściwie nie doszedł do siebie. Kiedyś w czasie nabożeństwa... Już samo to było skandalem. Ale kto to może osądzić?

– Co się stało w czasie tego nabożeństwa?

– Relacje są sprzeczne. Otóż podobno w trakcie kazania coś go opętało. Zaczął gadać od rzeczy i przerwał. Zamknął się na plebanii. Po nabożeństwie miał być chrzest, po południu pogrzeb. Ludzie musieli czekać, aż przyślą kogoś innego. Nazajutrz pastor uciekł z osiedla, a potem doszły wieści, że mieszka w miasteczku, że przebywa w okropnym towarzystwie... Cóż, teraz my się urządzamy. Meble i rzeczy pastora przenosimy do szopy na podwórku. Tak, dość tu było ambarasu... – westchnął mój rozmówca. – Na szczęście kancelaria i sprawy urzędowe są w porządku. Kontrola nic nie wykryła.

– A co pan myśli o tym wszystkim?

Pastor się zmieszał.

– Z góry nie można tu nic sugerować. Niedawno przyjechałem, nie mogę mieć na ten temat własnego zdania. Wiem tylko, co mówią inni. Oczywiście, że mówią, choć nie tyle, ile by się można spodziewać. Często odnoszę wrażenie, że najchętniej nabierają wody do ust. Zupełnie jakby szło o ich własny honor. Niektórzy milczą demonstracyjnie. Może łączy się z tym fakt, że chłopiec zamordowanej, znajomy czy narzeczony, pochodził właśnie stąd. Teraz tu wrócił, mieszka z matką w Alalkyla, w takiej małej chałupce. Mają parę arów ziemi, a w sezonie chłopak pomaga w tartaku, jeśli potrzebują.

Ciekawe... W prasie nie było o tym żadnej wzmianki. Jakiegoś młodego przesłuchiowano, lecz nie pamiętam, kogo. Ponieważ wszystko było jasne, zostawiono go w spokoju.

Jeszcze raz zapytałem:

– Co pan o tym myśli?

W tym momencie pani domu wniosła tacę z kawą. Zrobiła się krzątająca i pastor miał czas do namysłu.

– Cóż... mówiąc prywatnie, proszę nie pisać, nie mogę tego pojąć. Oczywiście, śmierć żony to wielki cios, ale ludzie szczerze mu pomagali i współczuli. Wspomniałem, że parafia była bardzo aktywna. Działały rozmaite kółka, pastor prowadził wiele prac charytatywnych. Tak... Młodzież też wciągnął. Zdarzały się wprawdzie jakieś kłopoty administracyjne, ale gdzie ich nie ma. Nie było żadnego konfliktu. Obecnie nastąpił zastój. Najaktywniejsi odeszli, jakby zamknęli się w swoich domach. Po ostatnich wydarzeniach to rzecz zrozumiała. Pozornie wszystko jest w porządku... Ale to potworna historia. Żeby w taki sposób... Zabójstwo można wytłumaczyć zaburzeniami psychicznymi, tylko co je wywołało?... Tajemnicza ucieczka do miasta też może mieć zwykłe ludzkie podłoże...

– Mnie to również interesuje, pastarze. To prawdziwa zagadka. Pomyśleć tylko, że był zapalonym kaznodzieją i duchowym przywódcą parafii. Jak rozszyfrować tego człowieka?

Pastor podszedł do okna i długo milczał. Potem odwrócił do mnie zafrasowane oblicze.

– Sądzi pan, że łatwo jest być pastorem? Nieprawda. Proszę nie myśleć, że pastor nie ma chwili zwątpienia, upadku. A tu w grę wchodzi specjalna pozycja w społeczeństwie. Ja na przykład nie chciałem przyjść do tej parafii ani okręgu, bo tu oczekuje się od pastora abyt wiele. Pastor i jego rodzina muszą się zachowywać w określony sposób. Słyszał pan o biskupie, który chcąc pomóc żonie, wziął się do odkurzania dywanu na podwórku? Miejscowa ludność przyjęła to jak policzek. Wysłano do biskupa delegację z żądaniem, by nie robił takiego wstydu całej parafii. Pastor jest jak manekin w oszklonej gablocie. Wszyscy obserwują, co robi, a czego nie. Czasem duchowny musi uciekać do miasta, żeby zacząć żyć jak zwykły człowiek wśród innych...

– A czy misja oświecania nie jest jego zadaniem? Jest przecież pasterzem. Porady może czerpać ze swojej wielkiej księgi.

Pastor uśmiechnął się i rozłożył ręce.

– Oświecać chyba próbuje, ale niełatwo przełamać nawyki ugruntowane wielusetletnią tradycją. Modele postawy chrześcijanina i jego moralności kształtowały się powoli, cegiełka po cegiełce. To samo dotyczy postawy duszpasterzy. Oni są lub powinni być jakimś wzorem postępowania. Pastor musi opanować do perfekcji to, czego zwykliśmy oczekiwać od chrześcijanina. Niech mi pan wierzy, ta świadomość jest jak kamień młyński u szyi. W mieście można jeszcze zorganizować sobie jakieś życie prywatne. Tutaj – wykluczone. Mój kolega z seminarium, który dostał się na wieś, miał całą aferę tylko dlatego, że lubi muzykę. Zainstalował urządzenia stereo na plebanii i słuchał nagrań, czasem muzyki poważnej, czasem lekkiej. Zdaniem parafian było to wydarzenie bez precedensu.

– Należy się więc dziwić, że ktoś jeszcze gdziekolwiek chce być pastorem?

– Cóż, to jest powołanie. I zawsze znajdują się ludzie potrzebujący pomocy. Takie okoliczności jak choroba czy śmierć bliskich mogą załamać człowieka. Właśnie wtedy potrzeby ducha stają się szczególnie pilne. Pastor winien przyjść z pomocą. Nikt od niego nie żąda recepty. Ma tylko wyprowadzić człowieka ze ślepego zaułka. Znaleźć drogę do Boga...

Sprawy śmierci zawsze były dla mnie deprymujące. Nie chodzę na pogrzeby. Ostatni raz byłem na cmentarzu po śmierci ojca, wiele lat temu. Zresztą omijanie tego tematu stało się nawykiem powszechnym, i chyba jest to zjawisko naturalne, zdrowe. Im mniej o śmierci pamiętamy, tym pełniej umiemy żyć. Przedsiębiorstwa pogrzebowe zajmują się przenoszeniem zmarłych pod ziemię. Na szczęście u nas zwłok nie balsamują ani nie wyprawia się z nimi takich cudów jak w Ameryce czy gdzie indziej.

– Przecież wszyscy jesteśmy śmiertelni. Po co więc analizować oczywiste sprawy i wpatrywać się, jak życie umyka nam przez palce?

– W życie pozagrobowe pan, zdaje się, nie wierzy?

– Nie. A pastor?

– Nikt nie ma wiary niezachwianej. Ale chrześcijanin nie uważa, że śmierć jest kresem wszystkiego. Poza tym Biblia uczy nas...

– Wszystkie religie tego uczą, począwszy od najbardziej prymitywnych. Drogi pastore, religia jest czymś bardzo ludzkim i nie odmawiam jej wartości. Ona pomaga. Widziałem to na przykładzie swoich rodziców, widziałem u innych. Więc jeśli ktoś może wierzyć, nie zabieram mu tej przyjemności... Do diabła, przepraszam, pastore, ale uzależnieni jesteśmy od sytuacji, nie od prawdy. „Myślę, więc jestem.” A ja zmodyfikowałem to wedle własnej filozofii i powiadam: „Myślę, więc jestem taki, jak myślę”. Każdy może mieć swoją rację, wierzący również, i trzeba ją przyznać także nie uznającym dogmatów. Ich zdaniem dogmaty są tworem ludzkiego mózgu, zależnego od praw natury...

– Jakaś prawda jednak istnieje?

– Prawda jest tutaj i teraz. Za parę sekund opuszcza nas jako przeszłość. Im bardziej się oddala, tym barwniejszą przybiera postać. Przecież nawet historia nie zawiera pewników. Czemu wiara chrześcijańska miałaby stanowić wyjątek? A mówić o jutrze, gorzej; mówić o życiu pozagrobowym ludzi myślącym, którzy wiedzą...

– Co wiedzą?

– Nie warto czepiać się słówek. Pan wierzy, dobrze. Ja natomiast nie chcę wierzyć, że wierzę. Mam chyba prawo być realistą?

– Wiara też może być realizmem.

– Mówiłem, że nikogo nie chcę odtrącać od wiary. Jeśli mu to coś daje, w porządku. Ale ja nie potrafię wierzyć w taki sposób...

Dyskusja się urwała. Zły byłem, że się uniosłem. Takie tematy zawsze mnie irytują. Chrześcijaństwo jako światopogląd jest zbyt schematyczne, a jego założenia co najmniej wątpliwe. Nadmiar absurdałnego idealizmu wytrąca mnie z równowagi.

Zamieniliśmy jeszcze parę słów, podziękowałem i wyszedłem.

Na dworze odetchnąłem głęboko.

Czemu odnosi się wrażenie, że powietrze w kościele nie ma tlenu?

Trzeba zmienić atmosferę. Poszukamy miejscowego łapiducha.

Biało otynkowany domek lekarza stał niedaleko. Ale miałem trochę czasu, żeby przemyśleć wizytę na plebanii. Jezu miłosierny! Faryzeusze dzisiejsi nie są wcale inni niż za dawnych czasów – myślałem sobie. – Co w nas jest takiego, że potrafimy zniweczyć każdy odruch serca?

Przedpokój był pusty, pierwsze drzwi otwarte. Z głębi korytarza wyrżał chudy wysoki mężczyzna w szarej wełnianej koszuli i farmerkach.

Powiedziałem, o co chodzi. Spojrzał na mnie srogo i nieprzyjaźnie spod krzaczastych brwi.

– Nie jestem psychiatrą. W osiedlu jest dosyć bab na plotki.

– Przyjdzie kolej i na baby... Ale pan był jego kolegą z ławy szkolnej. Jest poza tym sprawa żony pastora, o której chciałbym pogadać.

Mężczyzna nie odpowiedział. Otworzył boczne drzwi i skinął na mnie. Weszliśmy do gabinetu lekarskiego, zawałonego butelkami i pudłami. Nikt tu chyba nigdy nie sprzątał. Doktor wyszukał jakieś krzesło, przeznaczone widać dla pacjentów. Usiadłem.

Przyglądał mi się w milczeniu, potem otworzył szufladę i wyciągnął z niej butelkę koniaku.

– Napije się pan?

Nie oponowałem. Widać było, że doktor zaczął już wcześniej. Ruchy miał ociężałe, jak po sporej dawce alkoholu.

– Twoje zdrowie, ścierwniku! Jest nim pan, no nie? To nic złego. Każdy zarabia na chleb, jak umie. Ja wypisuję recepty i leczę symulantów. Czy wie pan, co robi taki lekarz jak ja? Nic. Kompletnie nic. Jestem świadomym szarlatanem. Każdy, nawet błahy przypadek odsuwam dalej. Pieniądze i tak lecą. Nie można narzekać. Jeszcze po jednym. Chwileczkę! Na czym skończyłem? Ścierwnik, no tak. Można było przewidzieć, że jak cholerny pastor coś takiego zmaluje, nadciągnie całe pospolite ruszenie, czy jak was nazywają. Będzie pan miał kłopoty. Wiem, znam tutejszych ludzi. A ta sprawa dotyczy całego osiedla. Nie wystarczy wziąć się do pastora.

Doktor napełnił kieliszki i zapalił fajkę.

– To było do przewidzenia. A najlepsze, że i nas cyników udało mu się nabrać. Ten człowiek mocno i głęboko wierzył w słuszność swojej sprawy. Niech pan posłucha, redaktorze, proszę nie oponować. W szkole nikt by nie przypuszczał, że pójdzie na teologię. To był znany urwis. Usko pastorem! Nikt nie chciał w to uwierzyć. Stał się dostojny, ale nadal nie brakło mu dobrego humoru. Spotkaliśmy się w tym pokoju, i choć nie piliśmy gorzały, dyskusja była zawzięta. Widzi pan, redaktorze, w moim fachu poznałem ludzi na wylot. Nie należę do astronautów, którzy powiadają, że Boga nie ma, bo nie widać go w kosmosie. Jednak w biologii, fizjologii, patologii znalazłem potwierdzenie, że człowiek jest tym, co je, pije i coś tam jeszcze, przy czym nie muszą w grę wchodzić siły nadprzyrodzone. Otóż pastor Kettunen zachwiał moją pewność. Teraz, po tym wszystkim, och, do jasnej cholery, zdaje mi się, że wraz z nim coś przepadło. I to mówię ja, znany sceptyk...

Głos mu zadrżał. Nie wiadomo, w jakim stopniu wpłynął na to koniak, a w jakim los człowieka, o którym była mowa. Faktem jest, że łyzy stanęły mu w oczach. Może należał do gatunku pijaków, którzy roztkliwiają się nad sobą. W typologii alkoholików zwie się ich ponurakami. Moim zdaniem sympatyczniejsza jest grupa wesółków.

– Potem wynikła historia z Leną. Często ją badałem. Była wątła i chorowita. Bałem się o stan jej zdrowia. Usiłowałem przekonać Usko, że trzeba ją zawieźć do szpitala i dać pod opiekę dobrych specjalistów. Ale napotkałem opór. Była to wiara Usko, twarda jak kamień. Na początku ósmego miesiąca ciąży Leny, po kolejnym badaniu, oświadczyłem, że dzwonię do szpitala i zamawiam miejsce.

Usko był blady i spokojny.

„Rozumiem, co masz na myśli, i doceniam twoje starania – powiedział. Jestem ci ogromnie wdzięczny. Ale mam gwarantowaną opiekę i nasz los znajduje się w pewnych rękach. Zdecydowaliśmy i Lena to zaakceptowała.”

„Czy nie zdajesz sobie sprawy... Zapewniam cię jako lekarz...”

„Nie trzeba. Podjęliśmy już decyzję i Lena się z tym zgadza. Bóg czuwa nad nami, oddaliśmy się pod Jego orędownictwo i wierzaj mi, mamy wiele powodów, żeby Go słać i dzięki Mu czynić. Ma nas w swojej pieczy i mocą Ducha wsparł naszą wiarę. Dlatego mogliśmy pomóc wielu ludziom rozpocząć nowe życie. Teraz z kolei On chce nas doświadczyć, wypróbować moc naszej wiary. Nie zawierzymy tobie, tylko Jemu, który jest Panem naszego życia i śmierci, który posiada moc na niebie i ziemi...”

„Na Boga, czy ty nie rozumiesz...”

„Nie wzywaj imienia Boskiego nadaremno! Jeśli będzie w nas wiara, choćby wielkości ziarnka gorczycy... My ją mamy!”

Przemawiał wysokim głosem, niemal falsetem. Oczy mu błyszczały, a uśmiech miał zwycięski. Odnosiłem wrażenie, że kryje się w nim coś potężnego, nadprzyrodzonego.

...W parę dni później, koło północy, zadzwoniła do mnie przerażona akuszerka. Stan Leny uległ gwałtownemu pogorszeniu. Ruchy dziecka ustały. Wezwałem taksówkę. Przygotowałem się na twardą rozmowę z Usko. Ale on był jak sparaliżowany. Wykonywał wszystkie polecenia machinalnie i bez przerwy powtarzał: „Boże, zmiłuj się nad nami!”

...W szpitalu stwierdzono zgon matki i dziecka.

Doktor napełnił kieliszki.

– Nie spotkałem go więcej, nie chciałem go widzieć, nie poszedłem na pogrzeb. W głębi duszy jakoś podświadomie czułem się winien. O Boże! Jakżeż to życie potrafi być okrutne i skomplikowane. Na zdrowie! W kielichu szukam osłody.

Wkrótce podziękowałem za gościnę i wyszedłem.

A więc zdobyłem pasjonujący materiał. Wydawca mógł się cieszyć. Ja nie. Czułem raczej niesmak.

Są cierpienia, nad którymi powinna być wywieszka: „Obcym wstęp wzbroniony!”

Cierpienia – jak relikwie – są zbyt święte, by ich dotykać.

Skreśliłem na wybrzeże. Chciałem być sam. Wokół przystani pusto. Ścieżka prowadziła do zagajnika brzoźowego. Cisza i spokój. Pachniało wiosną. Spomiędzy płatów śniegu wyzierała młodziutka trawa i białe przebiśniegi. Na drzewach jaśniały zawiązki listków.

Wyszedłem na polanę. Usiadłem na olbrzymim głazie, ciepłym od wiosennego słońca.

3

To, co piszę, nie jest spowiedzią. Nie odczuwam takiej potrzeby. Przyznałem się do winy i powiedziałem, że gotów jestem przyjąć zasłużoną karę. Taki dług mam wobec Boga i bliźnich. Dłużny też jestem wobec swego duszpasterstwa: „...byś odpowiadał przed Bogiem i ludźmi” – mówi się przy święceniach. Biskup skierował te słowa również do mnie.

Myśli moje są zmaczone i poszarpane, więc spróbuję je przelać na papier, by wykazać i przekonać siebie, że to, co uczyniłem, było słuszne. Nie robię tego dla pieniędzy. Piszę dla spokoju ducha.

Czytałem kiedyś, że jak wykazują badania uczonych, u większości ludzi nieprzystosowanych już w chwili narodzin występują zaburzenia umysłowe. Są one jednak tak nieznaczące, iż zazwyczaj nie przywiązują się do nich żadnej wagi.

Czyli początku należałoby szukać gdzieś w załączkach pracy kory mózgowej. Czy człowiek otrzymuje to wraz z genami matki, z jej krwią, która płód utrzymuje i rozwija? A przecież matka też je otrzymała. Więc gdzie szukać?

Chciałem to wykazać! Przecież głosiłem kazania o grzechu pierworodnym i o tym, że złe czyny ojców mszczą się na potomstwie nawet w trzecim i czwartym pokoleniu.

Kiedy zamierzałem skruszyć słuchaczy, roztaczałem przed nimi potworną wizję brzemienia grzechu pierworodnego, które muszą dźwigać, i dowodziłem, że nie ma przed tym ratunku, nie ma uwolnienia innego niż ponowne narodziny.

Za wszystko, co było, trzeba umrzeć, by narodzić się na nowo w miłosierdziu Boga i Jezusa Chrystusa.

Tylko tak kończy się bezlitosny łańcuch winy, tylko w ten sposób człowiek staje się wolny.

Tak mówiłem, a ludzie szlochali i nawracali się.

Gdzieś jednak tkwił błąd.

Pamiętam, że w swojej pracy przeżywałem chwile pełne radości i uniesienia.

Kiedyś do późnej nocy przygotowywałem kazanie. Nie byłem z niego zadowolony. Owszem, rozumowanie było słuszne i wnioski logiczne, ale czegoś w nim brakowało.

Nie mogłem usnąć. Czytałem Biblię i modliłem się. Wadziłem się z Bogiem. Prosiłem Go o natchnienie, o siłę słowa, które by poruszyło obojętnych, skruszyło ich.

Modliłem się jeszcze wtedy, kiedy rano Lena przyniosła mi kawę. Nie mogłem nic przełknąć.

Jak we śnie wchodziłem do kościoła i dziwne wrażenie wyobcowania towarzyszyło mi aż do ambony.

Zacząłem czytać wiernym przygotowane kazanie. Nagle oczy zaszczyły mi mgłą i musiałem oprzeć się, żeby nie upaść. Już nie widziałem tekstu, ale czułem w sercu gorące światło i spostrzegłem, że zupełnie inne słowa płyną z moich ust.

Doznałem natchnienia.

Wśród wiernych rozległo się łkanie, a we mnie rosło uczucie siły. Ostrze zakonu Bożego zaczęło rozcinać ludzką obojętność. Czułem, że słowa trafiają do celu, że tłum jest mi podwładny. Jak zgłodniałe wilki rzucali się na słowa Ewangelii, które im podawałem. Frazy gładko płynęły z moich ust.

Byłem wszechpanującym nauczycielem, kaznodzieją, pasterzem.

Po kazaniu, oszołomiony sukcesem, udałem się do zakrystii. Ukląkłem i dziękowałem Bogu, że w tak cudowny sposób obrał mnie za narzędzie swoje. Nareszcie!

Sporo wiernych przyszło do zakrystii. Modliłem się z nimi. Spowiadali mi się ze swoich grzechów, a ja mogłem im teraz pomóc, by rozpoczęły nowe życie.

Jak święty Piotr dostałem klucze Królestwa Niebieskiego. Miałem władzę wiązania i rozwiązywania.

Ludzie przychodzili do mojego domu, zatrzymywali mnie na drodze. Nieraz do późnej nocy rozmawialiśmy i modliliśmy się wspólnie. W szkole, gdzie nauczałem religii, młodzież była pełna entuzjazmu.

Utworzyliśmy młodzieżową „grupę bojową”, która wypowiedziała wojnę wieczorkom tanecznym. Gdy organizowano tańce, członkowie grupy wkraczali na parkiety i nawoływali do nawrócenia. Ja też przemawiałem, wołałem do serc ludzkich. Opowiadaliśmy o życiu w Chrystusie. Zbłąkani słuchali zazwyczaj w ponurym milczeniu. Rzadko nam przeszkadzano. Czasami jakiś pijak... Ale nie dopuszczaliśmy do tego.

Stałem się popularny również poza naszą parafią. Owszem, byli tacy, którzy krytykowali moje postępowanie, mój zapal w walce z grzechem. Zwali mnie biczem Zakonu. Nie wiedzieli, że tylko nadzoruję wykonywanie nakazów Jezusa.

Opozycja mnie nie obchodziła. Wiedziałem, że krytykują z zawiści. Zacząłem natomiast zwracać bacniejszą uwagę na przygotowywanie kazań.

Żyłem ekstazą zwycięstw.

Aż nadszedł dzień, kiedy Lena nagle zasłabła. Nie wierzyłem własnym oczom. Zawołałem jednak akuszerkę. Myślałem jeszcze, że dziecko ma się urodzić przed czasem.

– Jeśli pani chce, proszę wezwać lekarza. Niech przyjdzie i zbada żonę, żeby potwierdzona została wszechmoc Boga. Niech pani wezwie lekarza. Można dzwonić z mego gabinetu.

Przyjechał doktor.

Coś paliło mnie wewnątrz, czułem, jak gorący pot występuje mi na czoło.

To niemożliwe!

Czułem potworny strach.

Zanim lekarz wyszedł z pokoju Leny, byłem pełen oszalałych myśli. Jeśli teraz – wszystko przepadło. Nieprawda, nie może być. Boże, zmiłuj się! To nieprawda! To ostatnia pokusa, ostatnia próba mojej wiary, potem Bóg okaże swoje miłosierdzie...

Stałem w pokoju, kiedy lekarz od niej wyszedł. Dochodził mnie jakby z oddali szmer modłów.

Oczy lekarza były szare i puste.

– Dziecko nie żyje. Nie ma tętna. Boję się, że nastąpił krwotok wewnętrzny.

Wtedy coś we mnie umarło.

I nie przyszli aniołowie, by ratować dziecko z ołtarza ofiar. Jeszcze przed chwilą byłem w niebie. Teraz strącono mnie do najniższych piekieł, na pastwę płomieni, które wznosiły się jak duszące węże. Ogień i ciemność chciały mnie pochłonać.

– Boże zmiłuj się nad nami! – Wiedziałem, że powtarzam tylko te trzy słowa, wciąż na nowo i na nowo. Boże, zmiłuj się nad nami. – A przecież rozumiałem, że nie może być żadnego zmiłowania.

Tylko sąd i pustka.

Była północ, kiedy Lenę znieśliśmy do samochodu. Pamiętam, że chwilami mocno ściekała mi rękę i cicho jęczała. W pewnym momencie poczułem coś lepkiego i ciepłego.

Podniosłem dłoń. Zadrzałem. Nie wiedziałem, co do mnie mówią.

To jest moja krew, krew związku...

Jesteśmy doskonali przez Jego krew...

Ale to nie to... to jest krew Leny. Albo dziecka...

Coś załamało się we mnie, runęło.

Siedziałem w samochodzie obok umierającej żony i szlochałem ze zgrozy i nienawiści.

Prosiłem, choć nie wiem, czy była to modlitwa, czy klątwa, ciężąca na całym moim życiu:

– Niechaj ich krew spadnie na nas. Niechaj ich krew – na mnie, na mnie!

Teraz mnie wysłuchano. Teraz zastałem wysłuchany.

Cała ręka była we krwi.

4

Wracalem właśnie do hotelu, kiedy spotkałem doktora. Szedł w towarzystwie policjanta, który przedstawił mi się jako Peltonen.

– Walczy z biurokracyzmem o wolność – powiedział lekarz.

– Mamy skromne wymagania – rzekł policjant i dodał: – Ten pan oczekuje ode mnie przedłużenia prawa jazdy. Ale jak siądzie za kierownicą, policjantów może ubyc. Chyba lepiej nie przedłużyć?

– Nie musisz – odpalił zaraz doktor. – Mam sporo innych świstków. Ot, choćby rejestrację kupionej gorzały. Nie wiem, po co to wszystko, kiedy krzakowy nie brak.

Podeszliśmy do komendy i policjant zaprosił nas do wnętrza.

– Zapraszam, nie rozkazuję. Niech pan mnie źle nie zrozumie – powiedział.

– Cóż ty dziennikarza kożą straszysz?! Dla nich to kopalnia tematów, choćby tutaj...

– Aha, slyszalem, że pan zbiera materiał o pastorze – rzekł policjant. Przerzucal papiery na stole i mowil nie patrzac na mnie: – Oczywiście, to nie moja sprawa i nie chce przeszkadzac, ale pytam, bo dosc bylo z tym klopotow. O, jest twoje prawo jazdy, Lasse, podpisz.

Przypomnialem sobie ostatnie informacje i zapytalem:

– Czy stad pochodzi chlopiec tamtej dziewczyny?

Policjant byl zaskoczony.

– No, widzi pan. Szerzą się różne historyjki na ten temat, a niewinni cierpią. Parafia ma już za swoje i dlatego mamy dosyć. Nie chcemy, żeby się do nas kto mieszał. Co do Salmi, tego z Alakyla, po co go oczerniać, skoro sprawa jest jasna i zabójca siedzi? Proszę to zostawić w spokoju.

– Czyli radzi mi pan, żebym wyjechał?

– Tego nie powiedziałem. Żyjemy w wolnym kraju. Każdy może siedzieć, gdzie mu się podoba. Ale daję panu, powiedzmy, przyjacielską radę. Doktor mówił, co pana tu sprowadza, i muszę przyznać, że nie jest pan mile widziany. Lepiej spakować manatki i dać za wygraną.

– Skąd pan wie, czego tu szukam? Może prawdy? – Sam drgnąłem na tę myśl.

– Dość tu już szperali. Ludzie muszą trochę odetchnąć. Wiele lat wpatrywali się w pastora jak w gwiazdę, a teraz co? Daj pan spokój!

– Jak pan mówi, kraj mamy wolny – odpowiedziałem złośliwie. – Dlatego sam będę decydował, dokąd mam iść albo z kim się spotkać.

– Jako funkcjonariusz policji mogę panu powiedzieć, że odkąd przestali „nawracać”, parafia jest dużo spokojniejsza. Najgorzej, kiedy poczciwcy szukają w sobie grzechu. W religii też trzeba zachować umiar. Nie można ducha mieszać z chlebem powszednim. A tak było.

– Niech pan posłucha, redaktorze – wtrącił doktor. W jego głosie brzmiała ironia. – My, obywatele, którzy stanowimy trzon społeczeństwa, chcemy Kościoła, który będzie zachowywał tradycję ojców, podtrzymywał stare obyczaje, podnosił nas na duchu i subtelnie, niezbyt nachalnie nawoływał do przestrzegania zasad moralnych. Ważne jest, by oddzielić codzienność od świętości. Jeśli Kościół zacznie się mieszać do rynku i pietruszki, to sam pan rozumie, co z tego może wyniknąć. Trzeba dbać o proporcje...

– Po co prawić morały? Nie ma pan zdolności kaznodziejskich. – Posterunkowy podszedł do okna. – Zajmij się swoją miksturą. Do mnie należą sprawy porządkowe i chcę, żeby mi parafia pomogła. Lepiej by dali więcej forsy na pracę z młodzieżą niż na remont w kościele. Młodzi i tutaj zaczynają szumieć. Dlatego potrzebna jest pomoc parafii. – Zwrócił się teraz do mnie: – Niech pan się zastanowi nad tym, co mówiłem. Nie jestem pana szefem, ale mówię szczerze, co myślę.

– Chodźmy stąd, zanim nas obu nie wsadzą za opór władzy. Chodźmy do mnie. Mam w domu lek na biurokrację.

Chłodno pożegnaliśmy policjanta. Dopiero w domu u doktora atmosfera się poprawiła.

– Więc dalej chcesz ciągnąć tę historię?

– Oczywiście – odpowiedziałem. – Przed chwilą w potyczce słownej z gliną mówiłem, że szukam prawdy. I wtedy poczułem dreszcz. A gdybym ją rzeczywiście odnalazł?

– A niech cię! Dziennikarz, który wierzy w prawdę! Czyli jeszcze nie wszystko stracone! Nie zapomnij powiedzieć, kiedy ją znajdziesz.

– A doktor, pan życia i śmierci, czy może mi zdradzić, jak rozpoznać prawdę?

Doktor spojrzał na dno kieliszka.

– Może tutaj, *in vino veritas*. Wątpię, wątpię... Aha, więc jak ją poznasz? Trzeba słuchać, co ludzie wołają. Jeśli krzyczą: „Barabas”, to przy tym, którego krzyżują, jest prawda...

Nazajutrz zadzwoniłem do ławnika Karttunena. Chciał wykręcić się nawałem pracy, ale w końcu zgodził się, żebym przyszedł koło południa. Mieszkał parę kilometrów za wioską, ale pogoda była dobra, postanowiłem zrobić spacer.

Biało otynkowany dom i przyległe zabudowania oraz traktor i samochód osobowy świadczyły o zamożności właściciela.

Gospodarz czekał już przy wejściu. Może wypatrywał mnie przez okno? Masywny, chłop jak dąb, sprawiał wrażenie powolnego, lecz niezbyt rozgarniętego. Serdecznie zaprosił mnie do środka i przez sięń weszliśmy do gabinetu.

Biurko, a na ścianie dyplomy i portret prezydenta, dalej sofa, chyba niezbyt wygodna, no i półki. Na biurku proporczyk z jakimś herbem. Koło książek zauważyłem kubeczek z huby, pewnie pamiątkę z wojny.

– Praca na wsi jest teraz inna – powiedział. – Z rolnika zrobił się urzędnik. Mam na myśli tę całą biurokrację i księgowość. Ale może akurat zna się pan na tym?

Aby zachęcić gospodarza do wyznań, zacząłem opowiadać o własnych przeżyciach z czasów wojny, o Szkole Oficerów Rezerwy. Udało się. Podobną taktykę zastosowałem już kiedyś, gdy nie mogłem skłonić faceta do udzielenia wywiadu.

– Redaktor musi zrozumieć, że nie lubimy, jak rozgrzebują nasze sprawy – powiedział wreszcie ławnik.

Próbowałem wytłumaczyć, o co mi chodzi, ale miałem wrażenie, że nie do końca mnie zrozumiał. Miał nieskomplikowany sposób myślenia, jak to się zdarza u ludzi prostych. Człowiek jego pokroju widzi zjawiska tylko powierzchownie. Kiedy sprowokuje się go do głębszych rozważań, od razu traci wątek.

– Wszystko to wynika z opętanego tempa naszych czasów – mówił ławnik. – Taki wir potrafi wciągnąć każdego. Mam na myśli pastora, to znaczy Kettunena. Zaczny człowiek, oddany służbie Boga. Gorąca dusza. Byli jednak i tacy, którzy krzywo na niego patrzyli, mimo że nie są takimi radykałami jak ludzie w miastach. Lewica, choć słaba, jednak i tu działa...

– Czy ta sprawa wiązała się z polityką?

– Nie! Nie to miałem na myśli. Mówię, że i tu były jakieś powody... Każde nowe ma swoje dobre i złe strony. Na czym to stanęliśmy? Aha, więc pastor był taki zacny. Czasem może za ostry w słowach, ale nie bez powodu. Te dzikie tańce na wieczorkach i inne sprawy... Wstyd przyznać, ale i pijaństwo. Więc on chciał jak najlepiej. Parafia ewangelicka go popierała, ale raczej w sprawach gospodarczych. Odnowiliśmy dzwonnice i kościół, może pan nawet widział? Nie marnowaliśmy grosza.

– Współpraca więc układała się dobrze?

– Tak, tak jest. Do chwili, aż... Śmierć żony to był wielki cios dla tego wrażliwego człowieka. Zresztą mówiłem panu, że ten nowy ruch też na niego wpłynął.

– Czy współdziałanie parafii z miejscowymi władzami odbywało się bez konfliktów?

– Oczywiście. Tych kilku z lewicy wcale się nie liczyło. Do władz wybiera się najlepszych. W wiosce prawie ci sami ludzie zajmują się Kościołem i polityką. Takich nigdy nie jest za dużo. Załatwianie i prowadzenie spraw idzie utartym trybem. Władza zmienia się rzadko. Wszystko idzie bez zakłóceń, i tak jest dobrze. Parafia ewangelicka musi być pewnym i trwałym mechanizmem. Zawsze mówię, iż tylko ona może pomóc w walce z nowym.

– Przecież Jezus był rewolucjonistą.

– Tak... Jak by to wytłumaczyć... To były czasy pogaństwa, Rzymianie na karku i w ogóle. Oczywiście... Chrześcijaństwo rzuca hasło doskonalenia się człowieka. W tym jest siła protestantyzmu. Ludzie muszą naprawiać swoje grzechy. Ale to jest sprawa indywidualna. Gdyby wszyscy tak postępowali, życie byłoby lepsze. Ale człowiekowi zawsze jest źle. Ciągłe musi dokopywać się czegoś i kłać to, co święte. A jeszcze nowatorzy...

– Z tego, co mówił posterunkowy, wnioskuję, że to nawracanie naruszało porządek publiczny.

– Peltonen zawsze przesadza. Zbyt jest przejęty swoją funkcją. Choć to poczciwy chłop. Tak, więc nawracanie... Posterunkowy winien się cieszyć, jak pijak czy chuligan się nawraca. A były takie wypadki, nawet tu, w sąsiedztwie, choć nie chcę wymieniać nazwisk...

– Alfe nawrócenie nie było głębokie. Myślę o poziomie życia i warunkach socjalnych, pan chyba rozumie?

– Aha, socjalnych... To znaczy – polityka. Pisali o tym w gazetach. W naszej parafii prenumerujemy „Ojczyznę”. Tam już było coś o tych socjalnych. A to wszystko, redaktorze, wygląda tak... Niech mi pan wierzy, bo mój wiek i doświadczenie... Więc co to ja chciałem powiedzieć? Właśnie. Wiara jest sprawą osobistą, prywatną i nie można jej mieszać z polityką ani z urzędem. Ewangelia musi być czysta. Jeśli zmieszamy ją z polityką, to ją zbrukamy. Nic dobrego z tego nie wyjdzie. Tylko zamieszanie i bałagan. W protestanckim Kościele trzeba więcej studiować Lutra. Ducha należy oddzielić od ciała. Musimy tak postępować, jeśli chcemy zachować czystość nauki. To jest problem wiary, stosunku do Boga i człowieka, sprawa wiecznego zbawienia. Polityka światowa nie ma z tym nic wspólnego.

– A nakaz miłości bliźniego? Czy to nie jest związane z polityką?

– Teraz redaktor miesza pojęcia. Kiedy uprawiam ziemię, nie potrzebuję miłości bliźniego. Trzeba pracować i mieć rozum. Podobnie z polityką, tyle że wymaga ona więcej rozumu. Ale to zupełnie co innego – pomagać bliźniemu, kiedy jest w potrzebie. W tym jest sens istnienia parafii. Moja żona pracuje w kółku dobroczynnym. Zbiera się datki na opiekę społeczną, zgodnie z tym, co postanowi zarząd. Joenpera to jeden z tych, którymi opiekuje się parafia. Naprawiliśmy mu dach i oborę. Sam by tego nie zrobił. Wystarałem się o cement, cegłę i wołók. Zrobiliśmy izolację wołokiem, trochę taniej. Czyli wcielamy w życie hasło miłości bliźniego, choć ludzie nie lubią go wymieniać. A polityką zajmuję się osobno. Z tym też nie jest najgorzej, choć małorolni kumają się z socjalizmem. Ciekaw jestem, co by z nami było, gdyby tamci wygrali. Na razie gospodarujemy wzorowo, choć nie jest to łatwe. Podatki wciąż rosną. Właśnie. Kryzys finansowy czy co?...

Słuchałem i coraz wyraźniej rysował mi się charakter osiedla. Konserwatywne, ostrożne, oszczędne, odgródzone murem od stołu bogaczy. Ale miłość bliźniego dla spokoju sumienia... A może jestem cyniczny? Może nie wiedzą, co czynią? Tradycje są silne, zasady i ideały już ugruntowane. A przecież wynik ich działania jest mocny i trwały. Przecież człowiekowi, który siedzi przede mną, manna nie sypie się z nieba. Jego pobrużdżona twarz wyraża pracowitość i poczucie obowiązku. Spracowane ręce mówią, że ich nie żałował.

Cóż miałem do powiedzenia, ja, dziennikarz, pisarczyk, przelewający z pustego w próżne?

Koło południa wróciłem do hotelu. Zaczekałem w barze, aż zaczęli wydawać gorące posiłki. Jedzenie było niezłe. Pachniało domem i porcje też były spore.

Potem zadzwoniłem do Lassego. Spieszył się. Przyjmował chyba pacjentów. Podziękowałem za ostatnie spotkanie i spytałem, kto w parafii był przeciwnikiem pastora.

– Aha, chcesz znać odwrotną stronę medalu. Słusznie. To mi pachnie prawdziwą robotą dziennikarską.

Lasse kpił sobie ze mnie, za chwilę powiedział jednak, że „grupa oponentów” była spora. Spośród nich najlepiej porozmawiać z Suojanenem.

– Kto to jest?

– Mieszka w środku osiedla i tam ma sklepik, niby księgarnię, ale kupisz tam wszystko. Socjaldemokrata, który bohatercko zмага się z konkurencją handlową.

Postanowiłem udać się tam zaraz.

Książki, chemikalia, zabawki i inne artykuły. Kiedy spytałem o właściciela, dziewczyna zza lady pobiegła zawołać ojca. Po chwili wszedł – chudy, sympatyczny facet w średnim wieku. Na twarzy przyjazny uśmiech, może nieco smutny. Zauważyłem obszyty kirem guzik na marynarce – chyba niedawno stracił kogoś bliskiego, może żonę.

Przedstawiłem się, krótko zreferowałem sprawę. Zawahał się.

– Proszę mi nie brać za złe, że nie chcę się mieszać... Po prostu mi nie wypada. Niedawno zostałem wybrany w parafii na męża zaufania. Są tu chyba inni, z którymi mógłby pan porozmawiać?

Nie dałem za wygraną. Zmieniłem tylko taktykę. Zacząłem narzekać, że jestem zupełnie wytracony z równowagi. Na każdym kroku rzucają mi kłody pod nogi, a ja przecież nie robię tego dla sensacji. W grę wchodzi rzecz jak najbardziej humanitarna – znalezienie prawdy.

Kiedy trzeba, umiem błysnąć elokwencją. W dziennikarstwie to chleb powszedni. Rezultat był w każdym razie pozytywny – zaproszono mnie na zaplecze, do magazynu podręcznego. Właściciel wyjaśnił, że handel książkami w ogóle się nie opłaca, bo ludzie korzystają z bibliotek. Szczęście, że istnieją inne towary, jak galanteria czy kosmetyki, dzięki którym można się utrzymać.

Powoli kierowałem temat na właściwe tory.

– Jak dostał się pan do władz parafialnych?

Zmieszał się, uśmiechnął.

– Przypadek. My, to znaczy socjaldemokraci, chcieliśmy mieć kogoś z naszych w zarządzie parafii, żeby i nasz głos się liczył przy podejmowaniu decyzji. Wie pan, jak wyglądają zebrania. Mało kto dorwie się tam do głosu. Jeśli nie ma się nikogo w zarządzie, niewiele można wskórać. Zaczęliśmy kampanię, no i wygraliśmy obydwie wolne miejsca. Ja mam jedno z nich.

Chwilami mówił bardzo szybko. Nie jest tutejszy, przyjechał parę lat temu. Teraz, kiedy pochował żonę, zostanie tu chyba na zawsze. Córka chce się uczyć, na razie pomaga w sklepie. Potem na pewno wyjedzie. Jak to młodzież. Na wsi ma niewiele perspektyw.

Jeżeli idzie o poglądy, lepiej trzymać się na uboczu. Do Kościoła należy, inaczej by go nie wybrali. Ale ten wybór jest przypadkowy. Socjaldemokraci stanowią mniejszość, piastują niewielkie urzędy, dotowane przez parafię. Doktor także się do nich zalicza, choć aktywnie nie działa. Przecież Jezus z Nazaretu też był człowiekiem pracy, więc działalność w zarządzie parafii nie jest pozbawiona sensu. – Prowadzę tam sprawy socjalne – ciągnął. O religii chrześcijańskiej rozmyślałem już wcześniej, jeszcze przed objęciem funkcji. Chciałem przede wszystkim realizować hasło miłości bliźniego; sporo się mówi o nawracaniu. Według mnie chrześcijaństwo powinno uczyć tolerancji i pomagać ludziom w potrzebie. Nie tylko żądać. Na tym tle powstawały moje scysje z pastorem. W poglądach różniliśmy się diametralnie. On był bezkompromisowy, wiernym stawiał takie wymagania, że niewielu mogło im sprostać. Owszem, był uczciwy, cel miał szlachetny, lecz coraz wyższy mur wznosił wokół Kościoła. Wynikały stąd spory nawet z czynnikami administracyjnymi. Tamtymi sprawami powinna zajmować się rada parafii. Ale dyskusje przy rozdziale funduszy nieraz zahaczały o sprawy Kościoła. Zresztą do niczego to nie prowadziło. Działalność praktyczną zawsze wytyczają zasady. – Uśmiechnął się bezradnie. – Choćby człowiek nie wiem jak chciał być ugodowy i bezstronny, i tak kiedyś musi zająć jakieś stanowisko. Nie chodzi o politykę, w każdym razie nie o partyjną, mówiąc dosłownie. Nieraz w zarządzie parafii słyszałem: socjaldemokrata! No bo jaki tam ze mnie przedsiębiorca?! A więc socjaldemokrata... Zdawało mi się, że jeśli pójdę za pastorem, znajdę się w zasięgu jego duchowej dyktatury. A człowiek jest przewrażliwiony. Ileż to trzeba udowadniać, tłumaczyć, zanim... Nie potrafię tego wyjaśnić. Trudne to problemy. Moim zdaniem ludzi trzeba przekonywać, a nie strachem napędzać do chrześcijaństwa. No i ciągle te morały! Niektórzy muszą czuć nad sobą czyjąś władzę lub przynajmniej uznany autorytet. Może świadczy to o niedojrzałości duchowej? Nie wiem. Dla mnie sprawa wolności osobistej jest rzeczą ogromnej wagi.

Oczywiście hamulce muszą być. Czysty indywidualizm, o którym teraz tak głośno, mógłby może istnieć, ale na pustej planecie, i to jeszcze problematyczne. Chodzi mi o wolność dojrzałą, samodzielną.

I tutaj dla mnie Jezus jest idealnym wzorem. On podchodził do człowieka bez uprzedzeń, bez balastu żądań. Taka Ewangelia mi odpowiada, taką chętnie bym przyjął – a nie twarde, biczące słowa, jakie nasz pastor... Choć, jak mówiłem, nie zaprzeczam jego wartości. On był sobą. We wszystkim, co robił i mówił. Aż do tragedii z żoną... I ten wstrząsający incydent w czasie nabożeństwa... Potem odszedł. A ja miałem wyrzuty sumienia, mówię zupełnie szczerze. Nikt nie chciał, żeby się tak stało, żeby... To spadło na nas nagle, a jednak gryzie sumienie. Sami siebie pytamy, czy nie jesteśmy winni. Ale chyba najmocniej przeżywają to jego zwolennicy. Im ziemia usunęła się spod nóg. Nigdy nie cieszę się z cudzego nieszczęścia, ale sądzę, że to musiało nastąpić... Nabożeństwo było dramatyczne. W prasie o tym nie piszą. Stwierdzili tylko, że „pastor cierpiał wówczas na zaburzenia psychiczne.

– Jak to właściwie było?

– Wtedy więc, jak... Trudno to opowiadać komuś, kto tego nie widział. Oczywiście, zaburzenia psychiczne... Ale skąd one wynikają, z czym się wiążą, co je wywołuje? Kto wie naprawdę, co się dzieje w duszy drugiego człowieka? Byłem wtedy w kościele i jedno moge powiedzieć: przed nami stał bardzo nieszczęśliwy, godny pożałowania człowiek. Nieszczęśliwy i potrzebujący pomocy. Teraz, kiedy próbuje połączyć wszystkie ogniwa, było to mniej więcej tak...

5

Przez następne dni żyłem jak w gorączce albo jak w piekle. Niezmiernie rzadko, gdy zmęczenie dochodziło do zenitu, gdzieś nad ranem pogrążałem się w namiastkę snu. Ale i wtedy stawały przede mną męczące widma. Złany zimnym potem budziłem się do twardej rzeczywistości. Błogosławione sekundy między snem i jawą. Chciałem przyłgnąć do nich, wierzyć, że nic się nie dzieje, że koszmar jest tylko we śnie. Chciałem te sekundy przedłużyć, ale umykały mi i znowu czułem w głębi potworne, rozsadzające ciśnienie.

Modliłem się, ale słowa trafiały w próżnię, jakbym rzucał je do głębokiej studni. Słyszałem tylko echo swego krzyku. I cały czas zdawało mi się, że w ciemności czai się na mnie jakiś czarny potwór, który chce mnie zmiażdżyć. Zniknęła nadzieja, została pustka, ciemność i groza jak w dniu sądu ostatecznego.

Próbowałem czytać Biblię, ale była dla mnie jak dźwięki dla głuchoniemego. Pozbawione sensu i treści, słowa przechodziły obok mnie. A jeśli któreś z nich udało mi się zatrzymać, dyszało oskarżeniem i grozą.

Odwiedzali mnie przyjaciele. Chciałem nawet słuchać ich pustych wyrazów pocieszenia. Ale kiedy wychodzili, czułem się zupełnie wyczerpany, bo w ich obecności ze wszystkich sił tłumilem w sobie krzyk bólu i rozpacz.

Krew, którą zmyłem, wciąż czułem na rękach. Wgryzła się w skórę, paliła ciało.

Byłem zbyt tchórzliwy, by popełnić samobójstwo. Nie wiara mnie przed nim uchroniła, lecz strach przed tym, co ostateczne, nieodwołalne za tamtą granicą. A może gdzieś w głębi duszy czaiła się iskierka życia, nadzieja na jakąś szansę, zwrot na lepsze...

Moja wiara chrześcijańska roztrzaskała się na kawałki. W istocie byłem tylko zakłamanym świętoszkiem. Ku większej udręce nachodziły mnie wspomnienia tych, których odtrąciłem od siebie i skreśliłem z listy wiernych. Winien byłem największego z grzechów – pychy: podniosłem siebie na piedestał Boga i sam ustanowiłem się sędzią. Najgorsze, że wciąż byli ludzie, którzy we mnie wierzyli i czekali cna „powrót dawnych czasów”. Potrzebowali duchowej dyktatury i świadomości istnienia silnego wodza. Teraz, kiedy upadłem, rozpacz ich nie miała granic.

Dusze ich zniszczyłem i doszczętnie zatrąłem, wyhodowałem w nich ziarna faryzeizmu. Na Boga, czy nie ma granic winy?

Nie wiem, jak mogłem po tym wszystkim pełnić obowiązki kapłańskie! Nie rozstawałem się z książeczką do nabożeństwa, mechanicznie powtarzałem modlitwy, odprawiałem ceremonie religijne według wyuczonego rytuału, a potem jak najszybciej uciekałem do mej celi samotnych tortur. Nie cierpiałem widoku ludzi obok siebie.

Teraz rozumiem, że kryzys musiał nastąpić. Siły ludzkie mają swoje granice. W pewnym momencie kielich zostaje przepelniony.

Szedłem ku zgubie.

W czasie nabożeństwa, którego nie byłem w stanie dokończyć, kostniałem z bólu. Mechanicznie wybierałem wersety psalmów. Mustonen sygnalizował je na tablicy. Widać było, że jest niespokojny.

Zanim wyszedłem z zakrystii, ubrał mnie. Był zatroskany i opiekuńczy.

Pierwsza część nabożeństwa przeszła gładko. Przy spowiedzi powszechnej głos mi się załamał, ale dobrnąłem do końca. Sakramentu przyjąć nie mogłem, ale zdarzało się to i wcześniej, nikt nie zwrócił uwagi.

Poszedłem do zakrystii. Siadłem przy biurku i oparłem na nim głowę. Mustomen podsunął mi szklankę wody, ale jej nie tknąłem. Zapytał, czy źle się czuję, może wezwać lekarza. Potrząsnąłem głową. Nabożeństwo trzeba celebrować dalej. Jestem tu jedynym kapłanem. Wierni czekają.

Śpiewali już psalmy przed kazaniem. Jeszcze jeden werset. Teraz zazwyczaj wchodziłem na ambonę. Ale czułem, że nogi mam ciężkie jak kłody.

– Już chyba czas – nieśmiało przypomniał Mustonen.

– Pomóż mi, źle się czuję.

Pomógł. Wstałem i ruszyłem w stronę kazalnicy. Dałem znak ręką, że sobie poradzę...

Na ambonę wiodły wysokie schody, jak zwykle w starych kościołach.

Szedłem jak na gilotynę. Kiedy wreszcie ukląknę do modlitwy, pomyślałem, że z prawdziwą ulgą przyjąłbym teraz cios ognistego miecza.

Stojąc przed wiernymi drżałem, oczy napęłniły mi się łzami. Nic, tylko wciąż na górze! Wysoko, na piedestale! Wydzwignięty, żeby patrzeć i ważyć. A oni, tam w dole, są po co? Żeby w imieniu Boga odprawiać modły za nich. Żeby się modlił słowami, które straciły swój sens, twardymi jak kamienie. A może przyszli tutaj, żeby umocnić w nich wiarę, którą sami wymyślili, do której tworzenia ja też się przyczyniłem? Jak instruktor w kółku zainteresowań – to poprawić, tu źle umocowane, tamto krzywo...

Patrzyłem na twarze pozbawione wyrazu, na puste oczy, wyzute z uczuć i ciepła. Czekali. Ktoś się poruszył, przestąpił z nogi na nogę, zakaszła. Jakieś dziecko gaworzyło do matki, ma chórże harmider, jak zwykle.

Im dłużej się w nich wpatrywałem, tym mniej realne stawało się wszystko. Pochyliłem się, aby czytać Biblię, ale litery latały mi przed oczami, głosu też nie mogłem z siebie wydobyć. W piersiach czułem ucisk i ogarnął mnie strach, potworny strach i panika.

Skąd ja się tutaj wziąłem?

Najpierw miałem przerażające uczucie, jakbym się oderwał od siebie i unosił gdzieś obok. Wszystko zobaczyłem w innym świetle. Całą groteskowość sytuacji. Kazalnica, pastor, ludzie, którzy czekają i zaczynają się już niespokojnie kręcić...

Czego ja od nich chcę? Na co oni czekają? Słowo Boże! Przecież oni je przyjmują tak, jak sami chcą. Ja też tak robiłem. Słowa, słowa... Jak klocki w układance. Zestawiasz, dopasowujesz. Ten nie pasuje, odsuwasz... Model ma być podobny do wzoru. Pan Bóg jest taki a taki. Jego wola jest taka. Musi być taka, bo inaczej...

Może w tej samej chwili na różnych ambonach, w różnych kościołach tworzy się Boga. Według czyjej miary, czyjego gustu? Mierzy się, wybiera, komponuje, tłumaczy, wyjaśnia...

Którego Boga? Gdzie On jest? Jaki?

Moje wargi są zbrukane i ludzie, wśród których stoję, mają skalane usta. A przecież chcemy nimi głosić prawdę o Bogu! Patrzymy na Niego sercem pełnym ciemności albo rozumem, gdzie jak w kalejdoskopie złudzenie zmienia się w szarą rzeczywistość.

Z dołu dochodził mnie szum i szmery. Wierni czekali, dziwili się. Porządek mszy został zakłócony. Coś niesłychanego! Skandal! Pastor słowa nie może wykrztusić! Ostatnio był jakiś dziwny. Co go opętało?!

Jak lawina sypały się na mnie ich myśli. Czułem i wiedziałem, co się na dole dzieje.

I drżałem. Chciałem wstać i wyjść, zostawić ich sam na sam z cnotą, prawością i samouwielbieniem. Ale nie mogłem się ruszyć. Nie mogłem odejść, sam bowiem zasiałem w nich to ziarno, które jest złe i parszywe.

I nagle coś się we mnie stało. Runęły jakieś tamy. Spokojny wulkan, który przez wiele lat był tylko ozdobą krajobrazu, nagle obudził się i wybuchnął. Szczytem miotają wstrząsy, z głębi krateru tryska ogień i rozpalone kamienie.

Jak gorąca, brudna i spieniona lawa zaczęły płynąć z moich ust słowa. Cała tragedia mojej duszy, gorycz, rozczarowanie... Z sadyzmem wystawiałem na widok publiczny nagą podłość, jaka była we mnie – przez cały czas, zawsze. Świętość, prawość – olśniewająca skorupa, piękny krajobraz, kryjący w swoim wnętrzu to, co runęło teraz na wiernych... Czułem swąd ginących serc – mój łup, moja zdobycz. Wrota świątyni rozstały się i dopiero teraz wtargnęła przez nie prawda!

Z mej umęczonej duszy płynęły słowa. Był w nich ból i przekleństwo. Rozkrzyżowałem się przed nimi, odkryłem wszystkie zakamarki ciemnej duszy, hipokryzję, pychę, żądzę władzy. Cieszyłem się, że ogień mnie trawi. Nie szczędziłem żółci dla siebie i innych. Każdy dostał za swoje: oni, moralizatorzy, i ja, komiwojażer świętości, doradca w sprawach wiary.

Ohyda i nienawiść zaślepiły mnie. Nie docierało już do mnie, że ludzie zaczęli wstawać z ławek i opuszczać kościół. Zrobiło się głośno. Przy wejściu na kazalnicę tłoczyli się mężczyźni. W drzwiach stanął Mustonen i chwycił mnie za ramię. Coś mówił, ale go nie słuchałem i próbowałem odepchnąć. Nie ustępowałem.

Nagle poczułem straszne znużenie we wszystkich członkach. Ogarnął mnie płacz – litościwy, oczyszczający.

Pozwoliłem się zaprowadzić do zakrystii. Tam już czekali mężczyźni, jakaś kobieta. Rozmawiali podniesionymi ze zdenerwowania głosami.

Posadzili mnie do samochodu, odwieźli na plebanię. Chcieli wezwać lekarza, ale się nie zgodziłem.

Byłem spokojny, położyłem się. Po chwili wahania zdecydowali, że zostanę tu sam i wypocznę. Debatowali jeszcze w przedpokoju. Udawałem, że śpię.

W końcu poszli.

Kiedy było już cicho, wstałem i włożyłem do teczki jakieś ubranie. Zabrałem pieniądze i czeki. Bocznyimi drzwiami, od strony jeziora, wymknąłem się z domu na wybrzeże i lasem na drogę. Tędy do szosy było parę kilometrów. Na odgłos kroków kryłem się za drzewem.

W końcu doszedłem do traktu. W miejscowych domach jeszcze chyba nie wiadano, co się stało. Na wszelki wypadek wysoko podniosłem kołnierz, a kapelusz nasunąłem głęboko ma czoło. Zmęczony i spocony szedłem długo, aż wreszcie nadjechał autobus.

Nie miałem żadnego planu. Nie rozumiałem, dlaczego to robię. Wiedziałem tylko, że muszę stąd wyjechać. Jechać albo iść, byle nie zostać.

Musiałem uciekać albo popełnić samobójstwo.

Innego wyjścia nie widziałem.

Relacja pastora pokrywała się z jego notatkami, które otrzymałem później. Do pewnych danych dotarłem sam. W ten sposób historia staje się pełniejsza.

Muszę przyznać, że im bardziej zagłębiam się w tę sprawę, tym jest mi bliższa.

Splot wydarzeń jest w zasadzie prosty. Czyjeś ideały runęły, ich zwolennik stanął nad przepaścią. Pamiętam, czytałem kiedyś o starym chirurgu, który wciąż przeprowadzał operacje, choć wiek już nie był ku temu, ręce drżały. Ale w nauce dla podtrzymania jakiejś teorii trzeba nieraz zapomnieć o realiach. Inaczej zwykłe fakty mogłyby obalić teorię, będącą nieraz dorobkiem całego życia.

W sprawach mniej istotnych człowiek przyznaje: „Popeliłem błąd, zaczynam od nowa”. Ale jeśli poświęciło się czemuś życie całe, ciężko jest przyznać się do pomyłki.

Ta kwestia jest szczególnie trudna w zagadnieniach światopoglądu i religii. W grę wchodzi tu nie tylko teoria, ale i szereg innych problemów.

Pewien mój przyjaciel, poeta radykał, uważa, iż w religii najtrudniejsze jest uznanie odpowiedzialności za grzech pierworodny. Wiadomo, że nie tylko on reprezentuje taki pogląd. „W ten sposób niszczy się podstawowy schemat życia – powtarzał. – A przecież Kościół i kler to popiera. Myśl zaś o takim brzemieniu hamuje zdrowy rozum, krępuje ludzi, przeszkadza w realizacji planów. Jeśli człowiek nie zaakceptuje siebie takim, jaki jest, wpadnie w zaklęty krąg żalu i winy.”

Mnie chyba też dręczyło jej poczucie.

Można się z tym wszystkim cynicznie nie zgodzić, zaprzeczyć, uwolnić od takich twierdzeń, ale czy to coś da, czy wtedy wolność będzie pełniejsza?

„Rozgrywka jest bezpardonowa – mówił mój przyjaciel. – Życie jest twarde, każdy cios je hartuje. Człowiek zahartowany działa mądrzej i pomoże bliźniemu skuteczniej niż ten, który się szamocze w poczuciu winy. Po co udawać Jezusa? Ale skoro Kościół już od dziecka wpaja w człowieka takie poglądy, nic dziwnego, że wiele osób odczuwa zagubienie.”

Byłbym skłonny przyjąć taką filozofię, gdyby mój przyjaciel odznaczał się niekłamaną wolnością i spokojem sumienia. Ale jego wolność zaczynała się dopiero po trzech głębszych.

Więc on też przed czymś uciekał.

A ja? Na jakiej jestem drodze? – pytałem siebie. Moje próby maksymalnego korzystania z uciech tego świata, moja bzdurna filozofia zabarwiona cynizmem – czy to nie jest ucieczka przed prawdą? Czy dlatego, mimo iż otacza nas krąg zawiści i zazdrości, wciąż pchamy się między ludzi? Bodaj do kina, teatru czy knajpy?

Uciekamy od samotności. Boimy się myśli, wciskających się w tę samotność.

Kiedyś po dłuższych hulankach wyjechałem na wieś. Cisza i spokój. Regularne posiłki, spacer, wypoczynek. Początek listopada. W pensjonacie zaledwie parę osób. Renciści, kuracjusze. Przychodzili na wspólne posiłki, potem chwilę siedzieli przy telewizorze i rozchodzili się do swoich pokoi.

Wcześniej zapadał zmrok, gdzieś koło czwartej, piątej.

Siedziałem u siebie, próbując czytać, pałac papierosa.

O wódce nawet nie myślałem, zresztą nie brałem jej z sobą.

Wytrzymałem tylko cztery dni odosobnienia. Ostatni stał się już męczarnią. Cisza wypełniona myślami i głosami. Przychodziły skądś z zewnątrz, ze mnie samego, z moich słów, wspomnień, ze spraw nie załatwionych.

Pojąłem, że dłużej nie wytrzymam. Na piąty dzień wróciłem do miasta, do jego błogosławionego szumu i zwariowanego tempa.

Czy uciekałem przed poczuciem winy?

Do licha. Poczynam sobie jak wierzący!

„Wasze zdrowie! Do dna! Precz smutki i frasunek! Brać życie na gorąco. Czym się przejmować? Co użyjem, to dla nas... bo za sto lat nie będzie nas! Panie kelner, jeszcze raz to samo...”

Nad ranem wszystko stawało się już obojętne.

Ale pastora żal. Nawet gorzały nie ma na pociechę. W ciupie chyba nie piją?!

Czemu, do diabła, pozwolił się zapędzić w taką matnię? Powinien był wziąć urlop, lekarz by mu dał zwolnienie, mógłby ma jakiś czas wyjechać, zapomnieć o wszystkim. Po powrocie znów by się zabrał do roboty.

Nie uznawał kompromisów, był pewien swoich przekonań. Może w tym zawiera się prawda, ale jej sens jest wówczas tak odległy, że wątpię, czy choć kruszynę zdołam uszczknąć. Podobna sytuacja zachodzi w dziedzinie wierzeń religijnych, gdzie zwykliśmy określać mianem Boga kogoś, kto jest ponad i poza człowiekiem, kto zawiera w sobie wszystko.

Po co magią nazywać to, co jest na każdym kroku widomym przejawem obecności Boga?

Zresztą wszystko jest względne – zależy, jak się na to patrzy i kto patrzy. Na przykład alkoholizm. Wydaje mi się, że coś na ten temat wiem. Ale jakie jest jego źródło? Czy powstaje na skutek zaburzeń porodowych, niedoczynności związków chemicznych, nawyków z lat dzieciennych, braku efektów w pracy, błędów rodzinnych? Właściwie każda hipoteza może tu pasować i każda może okazać się mylna.

Ale jeśli zaczniemy rozpatrywać leczenie alkoholików, zastanawiające jest, że ci, którzy przestają pić, często zawdzięczają to Kościołowi.

Warto o tym wiedzieć, kiedy człowiek zabrnę za daleko. Czyli religia wysuwa się na plan pierwszy...

Postanowiłem trochę połączyć po osiedlu. Kupiłem papierosy i jakąś książkę. Nowości nie było, trochę podrzędnych kryminałów i komiksy. Potem zaszedłem do sklepiku z różnymi artykułami, od gwoździ do kiełbasy. Tutaj też o mnie wiedzieli. Łącznościowcy powinni na wsiach i osiedlach uczyć się szybkiego przekazywania informacji.

Sklepikarz, barczysty młodzieniec, przekładając pudełka zapytał:

– Nazbierał pan już dość materiału dla gazety?

Burknąłem coś niewyraźnie. Obok mnie stała opatulona, niepozorna staruszka. Kiedy usłyszała, o czym mówimy, nagle się zmieniła. Złapała mnie za rękaw.

– To osiedle jest opętane! – zaczęła szeptem, a potem ciągnęła już głośno: – Zapamiętajcie moje słowa! Osada jest opętana i skazana na zagładę. Naostrzyli miecz Sabaoth, a krew Karitsy woła nas do nawrócenia i śmierci za grzechy. Nikt mnie nie słucha! Serca ludzkie skamieniały. Pan dał im znak i pokazał moc, ale oni żyją w zaskorupieniu i przyjdzie kara. Kara nadejdzie! Zapamiętajcie, że kara spadnie na tę wieś i na cały naród fiński, jeśli na czas nie znajdziemy w sobie dość prawości. Czasu niewiele, Pan nadejdzie szybko. Przyjdzie Oblubieniec Boży i we śnie nas zabierze. Napiszcie, żeby czuwali i nawracali się. To właśnie głosił pastor, do tego nawoływał, a szatan, który krąży wokół nas jak lew ryczący, zebrał swoje siły i chce go zmiażdżyć, jego, wysłannika Boga. To jest znak niebios, że cios uderza w najlepszych spośród nas. Niech Bóg się nad nim zmiłuje. Wkrótce zagrają trąby Jerycha i ci, którzy splamili się krwią Karitsy... – Mięśnie jej twarzy poruszyły się nerwowo. Nagle odsunęła się, wskazała na mnie palcem i rzekła:

– Idź precz, szatanie! Idź tam, skądś przyszedł! W imię Pana naszego Jezusa Chrystusa powiadam ci, zgiń, przepadnij! I ty, odmieńcu...

Zakłopotany sprzedawca próbował przerwać potok słów staruszki.

– No, no, ciotko Miettinen, tak nie można...

Wtedy staruszka zrobiła znak krzyża w powietrzu, odwróciła się na pięcie i wyszła.

– Trochę pomyłona – wyjaśnił speszony ekspedient. – Dawniej latała na wszystkie nabożeństwa i kazania, nawet pastora to złościło. Nieraz przy ludziach zaczynała swoje mowy, takie jak teraz... Ma chyba źle w głowie... Tacy ludzie też są, trzeba ich zrozumieć. Czasem ją nachodzi, poza tym jest spokojna i normalna. I nigdy dotąd w sklepie...

– Bo zobaczyła zatwardziałego grzesznika – zażartowałem. – Nic się nie stało. Żał mi staruszki. Życ z takimi urojeniami...

– Słyszałem... tu różni ludzie przychodzą i mówią, że pana pisanie im nie w smak. Boją się. To nie moja sprawa – ciągnął sprzedawca. – Mówię, bo zaczęliśmy o tej historii. Dla mnie wszystko jedno. Ale lepiej, jak pan wie...

Cóż mogłem odpowiedzieć? Uśmiechnąłem się.

– Dziennikarz musi być na wszystko przygotowany. Ale snu mi to nie zabierze. A w razie czego niech pan powie, że wkrótce wyjeżdżam. Zobaczyłem tu i dowiedziałem się tyle, że mi wystarczy. Sensacji nie potrzebuję, interesuje mnie sedno sprawy. No więc proszę powiedzieć, że niedługo wyjeżdżam. A teraz idę spać.

Poszedłem do hotelu. W barku siedział młody mężczyzna. Kiedy mnie zobaczył, wstał i wyszedł naprzeciw. Miał na sobie farmerki, podniszczone buty i czerwoną koszulę flanelową. Był jakby zdenerwowany czy wystraszony.

– Chciałem z panem pomówić gdzieś na osobności – rzekł.

Spojrzałem na niego. Górna część twarzy była nawet ciekawa – niebieskie oczy i takie rzęsy, co wywołują bicie serca u dziewczyn. Ale koło ust czaiło się coś nieprzyjemnego, był jakiś kontrast, sprzeczność. To rzucało się w oczy.

– No cóż. Chciałem właśnie się położyć. Proszę więc do mnie, jeśli pan długo nie zabawi.

Weszliśmy na górę. Szedłem pierwszy, czułem się trochę nieswojo.

Otworzyłem drzwi i zaprosiłem go do środka.

– Proszę. O co panu chodzi? Ugościć pana nie mam czym. Tylko papierosy i ciepła whisky.

– Nie, dziękuję.

– No więc... o co chodzi?

Usiadł na brzegu krzesła i oburącz trzymał się za oparcie. Widać było, że nie wie, od czego zacząć. Postanowiłem mu pomóc.

– Zauważyłem, że wielu chce, bym zabierał manatki. Pan również? Spurpurowiał.

– Tak, owszem... Więc inni też?

– Tak, nawet posterunkowy. Nie mam zamiaru siedzieć tu do emerytury. Zresztą ta mi chyba nie grozi.

– Czego chciał posterunkowy?

– Rozmawialiśmy o chłopcu zamordowanej. – I nagle coś sobie uświadomiłem. – Przecież pan nim jest!

– No, znałem ją, ale w tym nic... nie byłem jej narzeczonym... – Był wyraźnie speszony i zdenerwowany. – Czasem ją widywałem, przelotnie... Tutaj, a potem w mieście...

– Zamierzałem pana poznać.

Drgnął.

– Po co? Ja nie mam z tym nic wspólnego.

– Ale znał pan dziewczynę.

– Jak wielu innych!

– No, nie wiem... Mnie interesują fakty. Utrzymywał pan z nią bliski kontakt.

– W sprawie zabójstwa nic nie wiem. Jeśli ktoś coś nagadał, to kłamie! Policja też mi uwierzyła.

– To samo twierdził posterunkowy. No więc czemu się pan tak denerwuje?

Poruszył się niespokojnie.

– Nie chcę, żeby mnie wplątali. I nie pozwolę o tym pisać...

– Niech pan nie przesadza! Jestem dziennikarzem i będę pisał, co mi się podoba. W każdym razie był pan bliskim znajomym zamordowanej...

– Bliskim! – Widać było, że chłopak wyraźnie się zdenerwował i przestał panować nad słowami. – A któż by z taką...

– Z jaką?

– No, z taką... Leciała na każdego chłopca... A ten pastor... Jemu było mało. Morderca i gwałcień! A z Marią sypiał, kto chciał. Z taką dziwką...

– Chce pan nią wytrzeć gębę, o to chodzi!

– Jeszcze powiem, żeby się pan odp...! Policja wszystko wyjaśniła i nie zgodzę się, żeby jatkis pismak wtykał nos w cudze sprawy.

– Posłuchaj no, młodzieńcze! – Choć sytuacja była wręcz śmieszna, zaczynało mnie to już gniewać. – Do mnie pan sam przyszedł i ze mną chciał rozmawiać. Jeśli chce pan tutaj bluzgać, lepiej zjeżdżaj mi i to już!

– Pójdę, pewnie, że pójdę, z przyjemnością! – Wstał z zaciśniętymi pięściami. – Ale jeszcze powiem: niech pan to zostawi, majątku pan na tym nie robi, a wielu tu jest takich, co... Tak że, cholera, lepiej niech pan skończy!

Mało brakowało, żeby się na mnie rzucił. Potraktowałem to niezbyt serio. Nie miałem czego się bać. Był zdenerwowany, a poza tym dużo słabszy ode mnie. Ta wieś roi się od wariatów!

– No więc powiedział pan, co chciał, a teraz fora! Tam są drzwi. Chcę odpocząć. Ale niech pan zapamięta: ani pana, ani nikogo z tej wioski nie będę pytał o pozwolenie, pisać czy nie. Sam szukam, czego chcę, i piszę, co chcę. Za to sam ponoszę odpowiedzialność. Ale tutaj coś śmierdzi... Pana wizyta jeszcze to potwierdziła.

Był blady ze złości. Podeszedł do mnie. Na wszelki wypadek przyjąłem pozycję do walki.

Odwrócił się do drzwi. Trzymał już rękę na klamce. Zaklął pod nosem i głośno powiedział:

– Niech pan tylko spróbuje, to jeszcze o minie usłyszy. A z tą dziwką... to...

Był już w przedpokoju i z hukiem trzasnął drzwiami.

Odetchnąłem głęboko. Jednak mnie zdenerwował.

Dziwna miejscowość! Zaczynam rozumieć, że tutaj i pastor mógł dostać bzika!

Sprawa zaczęła interesować mnie naprawdę.

6

W kościelnym ogrodzie kwitły krokusy. Trawniki i ścieżki były uprzątnięte. Na ławce u stóp wiosennie przyodzianej lipy siedziała dziewczyna i chłopiec. Tulili się do siebie, jakby świata poza nimi nie było. Uśmiechnąłem się z goryczą.

Główne wejście było zamknięte, jak zwykle w fińskich kościołach. Przypomniałem sobie boczne drzwi. Z kapeluszem w rękę wszedłem do środka. Cicho i spokojnie, skąpe oświetlenie wysoko nad łukami okien, poza tym kościół tonął w mroku. Tu było chłodniej niż na dworze, poczułem dreszcz. A może to nie zimno, tylko wspomnienia?

Z bocznej nawy wszedłem do środkowej. Myślałem, że jestem w kościele sam, ale kiedy podchodziłem do ołtarza, stanął przede mną siwy, zgarbiony staruszek. Chyba organista lub zakrystian. Nagle go sobie przypomniałem. Teraz był dużo starszy, pomarszczony i zgarbiony.

Z pokornym uśmiechem tłumaczył mi drżącym głosem:

– Kościół jest zamknięty, musimy posprzątać.

Ale może mądre oczy starca ujrzały mój smutek, może wyczuły ból samotności, może z natury był łagodny. Takim go przecież pamiętam, choć on mnie sobie nie przypominał. Pewnie miał słabszy wzrok. Zresztą pamięć ludzka jest zawodna. A właściwie skąd by mógł pamiętać? Nigdy tu nie pracowałem. Tyle tylko, że kiedyś odprawiłem tu prymicje...

– Czy pozwoli mi pan zostać przez chwilę? Długo nie będę.

Staruszek skinął głową i pokuśtykał na drugi koniec kościoła.

Podszedłem do ołtarza.

Co mnie tu ciągnęło, co skłoniło, by tu przyjść? Chęć ujrzenia miejsca moich święceń kapłańskich? A może szukam czegoś, co pomoże mi zrozumieć siebie... I moją wiarę.

Wiara bowiem, w której trwałem i działałem, podobna była czarodziejskiej różdżce: malała w miarę spełniania się marzeń. Stopniowo stawała się coraz mniejsza, aż nic z niej nie zostało. A wraz z nią kończy się życie.

Taka była moja wiara. Dawniej, potężna i wielka, otwierała mi drogę do sukcesów. Każdy sukces niweczył w niej jakąś część, aż w końcu nie zostało nic. Pustka.

Przed ołtarzem znalazłem miejsce, gdzie wtedy klęczałem. Nawet dywan był ten sam, tylko bardziej wytarty. Przed laty klęczałem tutaj i była to wielka chwila. Wyświęcono nas wtedy pięciu. Czuliśmy się jak żołnierze błogosławieni przed walką. Przed nami otwierało się życie pełne emocji i napięć, mieliśmy dalekosiężne plany, szlachetne zamierzenia...

Łzy, które ostatnio wiernie mi towarzyszyły, znów napłynęły do oczu. Ukląknęłam i schyliłam głowę. Nie modliłam się. Nie mogłam. Z głębi serca jak ciężkie westchnienie wyrwało się dręczące wciąż pytanie: Dlaczego?! Gdzie popełniłam błąd? Czym zawiniłam?

W pamięci ożywały chwile z dnia święceń. Głos celebransa, moje własne szczere zapewnienia, gdy powtarzałam przysięgę. Pamiętam i to, jak się spieszyłam, kiedy biskup, ubrany w uroczyste szaty liturgiczne, z Biblią w jednej, a pastorałem w drugiej ręce zbliżył się do ołtarza. Ujrzałem wtedy z bliska jego niezgrabne, wielkie buciora na grubej podeszwie. Kontrast z szatami liturgicznymi był tak wielki, że mimo woli uśmiechnąłem się.

Otrzymałem błogosławieństwo apostołskie i wkrótce zacząłem swoją pracę.

Na którym skrzyżowaniu wybrałem złą drogę?

W czasie studiów żywo dyskutowaliśmy na tematy teologiczne. Wszyscy. Nie miałem żadnych skłonności heretyckich. Może byłem nieco egzaltowany i dlatego nawrócenie traktowałem jako sprawę nadrzędną. Na temat zasad dyskutuje każde młode pokolenie księży, nie zgadzając się z poglądami starszych, a po paru latach spostrzega siebie na wrażej pozycji.

Czy kara, która mnie tak przybiła, jest zbyt surowa? Zapewne w życiu mało okazywałem miłości, a może i uczciwości. Przeżywałem okresy zwątpień, ale kryłem się z nimi, jakbym chciał omijać przeszkody. Może postępowałem źle? Może trzeba się było zastanowić, wyjaśnić?... Z wiarą działałem jak żołnierz, który prowadzi wojnę błyskawiczną: idzie naprzód, ale na tyłach zostawia ogniska wroga, żeby się z nim później rozprawić.

Chciałem zdobyć jak najwięcej nowych wyznawców Chrystusa. Uważałem, że jeśli zacznę roztrząsać każdą wątpliwość, zastanawiać się nad każdym problemem, nie zdobędę ich wielu.

Prasa, radio, telewizja, socjologia – narzucają ludziom coraz to inne problemy do rozważania. Każdy poranek niósł fale nowych zagadnień. Czy do każdego z nich należało się ustosunkować, czy też odłożyć niektóre na później?

W seminarium byli koledzy, którzy pytali i szukali odpowiedzi. Powstawały różne ugrupowania. Dyskutowali, roztrząsali... Nie odpowiadało mi to. Nie miałem czasu. Wytyczyłem sobie jasny cel: głosić Ewangelię coraz szerszym rzeszom wiernych.

Czy tu popełniłem błąd? Ale czy socjologia i psychologia mają coś z wiarą wspólnego? Przecież te nauki nie prowadzą człowieka do zbawienia, nie zapewniają nieśmiertelności jego duszy. Moje kapłaństwo oznacza misję głoszenia Słowa Bożego. Po co więc marnować czas na filozofię?! Inżynier, który buduje drogę, wytycza sobie punkt docelowy, powoli zdąża do niego i nie kręci się na wszystkie strony. Oczywiście, jeśli ma ochotę, może budować obwodnice, wiadukty, tunele... Niektórzy kapłani penetrowali krajobraz wzdłuż i wszerz. Czy o to chodzi? – myślałem sobie. – Przecież cel mam sprecyzowany.

Teraz jestem zbuntowany, rozgoryczony. W głębi serca czuję się potępiony i nie pojmuję tego. W którym miejscu wybrałem niewłaściwą drogę? Najgorsze jest uczucie, że Bóg mnie odrzucił. Więc obraziłem Go. Ale czym, kiedy? Przecież wierzyłem bezgranicznie, z pełnym oddaniem, jak dziecko pełne ufności. Choć z drugiej strony moja wiara nie była naiwną wiarą dziecka. A może...

W szkole podstawowej uczył mnie religii człowiek bardzo prymitywny. Kiedyś, nie mogąc nas przywołać do porządku, czerwony z gniewu, kazał nam wstać. „Módlmy się! – wrzasnął. I mówił tak: – Panie Boże, spraw, by ten, kto na lekcji gada bez zezwolenia, nie przeszedł do następnej klasy.”

Przecież nie byłem naiwny w swojej wierze ani Boga nie nękałem bez potrzeby. Czemu więc mnie odrzucił? Czemu Lena i dziecko musieli umrzeć?

Czekaliśmy na spełnienie obietnic danych nam przez Boga. Czy za to Bóg nas tak ciężko ukarał? Jeśli nie, to za co? Czym zawiniłem?

Przed tym samym ołtarzem, skąd kiedyś pełen wiary i ufności odszedłem, by pełnić misję kapłańską, teraz całą swą istotą domagałem się odpowiedzi od Boga. Ale odpowiedzi nie było. Wołałem w próżnię.

Zmęczony podniosłem się.

Staruszek, który pozwolił mi zostać, podszedł do mnie. Odwróciłem się, żeby mu podziękować.

– Nasz kościół jest przez cały dzień otwarty dla modlących się – wyjaśniał jakby prosząc o wybaczenie – ale i tu trzeba kiedyś posprzątać. Ludziom potrzebne jest ciche miejsce... po to kościół...

Nie odpowiedziałem, kiwnąłem głową.

– Dużo osób przychodzi codziennie – ciągnął staruszek. – Myślę, że to im pomaga...

– Tak, chyba tak... – Cóż miałem powiedzieć? – Różnie bywa w życiu. Dobrze, że jest miejsce, dokąd można przyjść ze swoimi troskami.

Długo patrzył na mnie starymi, mądrymi oczyma, jakby czytał w moich myślach.

– Nieraz cierpienie ludzkie wymaga czasu... Nie od razu, nie natychmiast... Czasem ból doskwiera długo i mocno. Nawet tym, którzy wierzą głęboko.

Chciałem mu przerwać i zawołać, że mój kielich goryczy Jest już przepełniony. Ale wstrzymałem się. Po co zakłócać jego spokój? Ma rację. „Czasem ból mocno doskwiera...” O, tak!

Gdybym mógł się w kamień zamienić, aż do ostatniej komórki... Albo umrzeć... Pogrążyć się w nicość, zapomnieć...

Na dworze wiosenne słońce zaświeciło mi w oczy. Tam w kościele panował mrok, czuć było stęchliznę. A tutaj świeżo i jasno. Jakże chętnie oderwałbym się teraz od siebie, zamienił w coś lub kogoś. Miałem dość własnego „ja”. Czułem je w sobie jak plugawę brzemię. Bezlitosne wiosenne słońce jeszcze je oświeciło. Niewielką pociechą było wspomnienie słów Pawła z Listu do Rzymian: „Nieszczęsny ja człowiek! Któż mnie wyzwoli z ciała tej śmierci...”

Ciało śmierci. To właśnie miałem. Szedłem z misją spełniania dobrych uczynków, a teraz zło zagarnęło mnie... Umysł zbuntował się przeciw prawości, a ciało pełne było grzechu, przez grzech uwięzione...

Ileż to razy mówiłem o tym z ambony. Wyjaśniałem, dodawałem otuchy. Ale nie doświadczałem tego sam. Teraz ogień bez ratunku palił moje własne ciało. Moja wiara umarła.

Ale nie będą potępieni ci, którzy trwają w Panu Jezusie Chrystusie. Powtarzałem wciąż słowa Listu do Rzymian, aby odzyskać ducha, którym byłem napełniony, wyjaśniając kiedyś wiernym mój ulubiony tekst. Donośnym głosem przekazywałem im swoją pewność siebie. Chciałem, by te słowa wryły się głęboko w ich serca, stały się sensem ich życia. Może wtedy komuś pomogłem, nie wiem. Teraz wiedziałem, że runęła ułożona przeze mnie jak z klocków konstrukcja mej wiary, zawaliła się jak domek z kart.

Zostało puste serce i próżnia wokół.

Długo w osiedlu nie zabawiłem. W mieście czuję się jednak dużo lepiej. Nie dlatego, żebym się bał pogrózek. Po prostu atmosfera była trudna do zniesienia.

W domu przez parę dni nie robiłem kompletnie nic. Czytałem, wylegiwałem się. Ale szybko zauważyłem, że próbuję sam siebie oszukać. Ta historia pochłonęła mnie. Nawet jeśli nie krążyła po głowie, tkwiła w podświadomości. Męczyło mnie nie to, że sprawa nie była zakończona. Spozstrzegłem, że inaczej patrzę na swoje życie i jego treść. A właśnie cieszyłem się, że osiągnąłem pełną równowagę, przestałem martwić się o przyszłość, cieszyłem się dniem dzisiejszym, choć raz było lepiej, raz gorzej.

Dotychczas układało mi się jako tako. Kiedy wpadałem w chandrę, wystarczyło znaleźć paru kumpli. Na kaca też już miałem sposoby. Teraz mój schemat życia zaczął się kruszyć. Nie wiem, dlaczego. Do licha! Jako dziennikarz i literat z Bożej łaski byłem w różnych tarapatach i zawsze wychodziłem obronną ręką.

Skąd więc ten niepokój?

Zdawało mi się, że jestem na jakiejś granicy. Przede mną był zupełnie obcy teren. Strach i ciekawość podtrzymywały mój wewnętrzny niepokój. Częściej niż dawniej zażywałem leki.

W takim stanie ducha wdepnąłem do „Kawiary”. Nie była to odpowiednia nazwa dla knajpy, ale przyjęła się.

Wrzało tu jak w ulu. Udzielano kredytów, poręczano, obsługiwano.

Klienci byli rozmaici. Trafiali się artyści, w tym jeden z prawdziwego zdarzenia, zbłąkani studenci, kupcy, ajenci, przemysłowcy różnego kalibru. Nie brakowało też wesołych towarzyszek wieczornych libacji.

Prócz skandalu wszystko tu było dozwolone. Wykidajło Laukkanen był na tyle rośły, że w odpowiedniej chwili z każdym sobie radził. Może dlatego policja prawie tu nie zaglądała, wychodząc widać z założenia, że lepszy wróbel w garści niż dziesięć zalanych wróbli na ulicy. Logika nie do obalenia.

Mój ulubiony stolik był zajęty, ale podszedłem, bo siedział przy nim mój znajomy Jorkka, zdolny metaloplastyk, znany z paru wystaw. Wyraźnie się ucieszył. Ja też go lubiłem.

Nie wyglądał na plastyka. Był krępy, miał szerokie dłonie, kwadratową twarz i jasne zwichrzone włosy.

Zaczął mi opowiadać o swojej pracy. Budował właśnie atelier za warsztatem, wyposażonym lepiej niż studio mechaniki precyzyjnej. Dawniej często przychodziłem do niego.

Z kolei ja powiedziałem, czym się teraz zajmuję. Wyraźnie go to zainteresowało.

– Patrz, co za przypadek. Ja też kręcę się w środowisku kościelnym – powiedział. – Robię wewnątrz zboru protestanckiego. Oczywiście ze swego żelastwa. – Często wyrażał się lekceważąco o swoich pracach, choć kochał to „żelastwo” jak własną żonę. – Taak. Tego „dzieła” nie widziałeś. Nazwałem go „Tworzenie wszechświata”. Miałem kłopoty ze spawaniem. Nie jest złe... Ale dziwne, że potrafili zrozumieć... Powołali komisję. Zastanawiali się... Przypadkowo członkiem komisji został księżulek, który gadał, a oni go słuchali. Kilka razy był u mnie w warsztacie, miło się z nim gawędziło. Najpierw myślałem, że chce mnie nawracać, ale nie...

– Przecież to też ludzie.

– Trafiają się i ciemne typy. Ale ja biorę człowieka takim, jaki jest. Hej, Eila, podejdz no tutaj!

Kelnerka z uśmiechem podeszła do naszego stolika, by przyjąć zamówienie.

– Ten kościół, co kupił moje żelastwo – goły, nowoczesny, jak to teraz budują. Moja robota pasuje, nie mogę narzekać. Nawet dobrze, kiedy tło jest czyste, bo wtedy żelazo wybija się na pierwszy plan. Ale mnie urzekają stare kościoły, kamienne. To są budowle! Współczesne nawet się do nich nie umywają! Jasne, że patyna czasu dużo robi. Mój metal też nabierze charakteru... Rozmawialiśmy z pastorem o Kościele. Dotąd niewiele mnie obchodził. Moim zdaniem to dziwny twór. Jakby stare połączyć z nową nadbudową. Mówiliśmy o kazaniach i w ogóle o naukach kościelnych. Mało wiem na ten temat, tyle co z lat dzieciennych. Tłumaczył mi, że Kościół i jego nauka mają jakby dwa różne poziomy, przynajmniej powinny mieć. Teraz niższy chyba dominuje. Ludzie są różni, żyją na różnych poziomach, i Kościół, który ma jeden wspólny cel, musi do niego doprowadzać ludzi, dostosowując się do nich. Błąd podobno polega na tym, że za często wybiera poziom najniższy. Dlatego intelektualści i indywidualiści rzadko korzystają z tych nauk. Pastor kieruje się wymogami większości wiernych, podczas gdy nauki powinny być zróżnicowane. Ale Kościół nie kwapi się, by przyciągać słuchaczy z wyższego poziomu. W każdym razie nie bardzo to widać. Faktem jest – ciągnął z zapalem Jorkka – że ludzi przeciętnych trzeba nauczać inaczej niż intelektualistów. Choćby moi starzy rodzice... Zakupy robili zawsze w hali targowej. Nawet ubrania czy inne rzeczy. Tam umieli się obracać, czuli się swojo. Gdybyś ich zawiózł do nowoczesnego domu towarowego, pogubiliby się i nic nie mogliby kupić... Może i lepiej, że nie przy nich zacząłem z tym żelastwem...

– Z twojej wypowiedzi wynika, jeśli zmienimy temat, że sztukę należałoby popularyzować. A przecież tworzycie dla wybrańców, dla tych na wysokim poziomie. Za wysokie progi na biedaka nogi...

– Możesz to powiedzieć poetom, nie mnie! – krzyknął zdenerwowany Jorkka. – Moja sztuka nie jest dla wybrańców... No, dla nich też, ale i inni ją rozumieją. Rzeźba jest zawsze czymś namacalnym...

– A czy prawdę można popularyzować? Co o tym sądzisz? Czy popularność nie ogranicza prawdy? Nieraz, kiedy dociekam sedna wiary, wydaje mi się, że prawda ukryta jest za głęboko.

– Nie znam się na tym. Wiem tylko, że na przykład sztuka musi się trzymać prawdy. Twórczość, choćby nią była zwykła kupa złomu, trzeba ostatecznie rozpatrywać w aspekcie wiary. Tego nie ruszysz samym rozumem i techniką. Psu na buty zdałaby się taka sztuka. Musisz sięgać wyżej i głębiej. Więc chcesz czy nie chcesz, musisz szukać prawdy. A potem starasz się ją pokazać.

I znów mówiliśmy o mojej sprawie. Nie wspomniałem tylko, że stała mi się tak bliska.

Jorkka słuchał. I tę sztukę posiadał...

Nagle zerwał się.

– Zaczekaj moment, czy jest Tane?... Słuchaj, zaraz wracam.

Zdziwiony patrzyłem, jak rozmawia z Tanem. Mówiono mi kiedyś, że handluje, choć rodzaj jego transakcji był dla mnie zawsze zagadką.

Za chwilę obaj podeszli do mego stolika. Tane z kieliszkiem.

– Słuchaj. Myślę, że Tane będzie coś wiedział na ten temat. Jeśli rzeczywiście to... Siadaj, Tane, jak wypijesz, stawiam następną rundę. Mówiłeś, że pastor uciekł do miasteczka... A Tane właśnie poznał tu kogoś... To ci przypadek!

Potrząsnąłem głową.

– Niemożliwe! Przecież jego zdjęcie było we wszystkich gazetach.

– Tak, ale zdjęcia były marne. Zresztą tam miał koloratkę na szyi. I dopiero co zniknął. Dziwiliśmy się, bo widzisz, on wyglądał na takiego, który nawet muchy nie zabije... To nas zmyliło...

Wiedziałem, że bywalcy „Kawiary” nie interesowali się prywatnymi sprawami. Obowiązywała tu cicha umowa: nikt o nic nie pytał.

– Pastorem nazwaliśmy go przypadkowo. Kiedyś przyszedł tu młody człowiek, był zalany. Podszedł, oparł się o stół, przy którym ja i, powiedzmy, ten twój, no, „pastor”, siedział. Zaczyna bluzgać i powiada: „Odwal się, cholera, pastorku, od mojej dziewczyny!” Ale ty znasz Laukkanena! Błyskawicznie znalazł się koło nas i uniósł awanturnika w powietrze. Pamiętam, że „pastor” zbladł jak ściana, mruknął coś tylko pod nosem. Ale przydomek „pastora” przyłgnął do niego. Zresztą nigdy nie podawał swojego nazwiska...

Powoli opowiedzieli mi całą historię.

Przez jakiś czas pastor był stałym bywalcem „Kawiary”. Pierwszy raz zjawił się tutaj w chłodny deszczowy wieczór. Było wtedy pełno ludzi. Laukkanen potem opowiadał, że do wejścia przepchał się młody mężczyzna w płaszczu z postawionym kołnierzem. Laukkanen chciał powiedzieć, że miejsc nie ma, ale na twarzy tamtego było coś, co go zastanowiło.

– Czy można tu zjeść? – zapytał przybyły.

Laukkanen pomógł mu zdjąć płaszcz i zauważył, że przybysz drżał, może z zimna.

Wszystkie stoliki były zajęte, więc Laukkanen wskazał mu ten, przy którym siedział Tane z kolegą.

Mężczyzna nikomu nie przeszkadzał. Zamówił jakieś danie i po chwili namysłu butelkę piwa. Nie rozglądał się. Zjadł, wypił i jeszcze chwilę posiedział.

– Wyglądał smętnie – wspominał Tane. – Daliśmy mu spokój. Wydawało się, że tego chciał. Klóciliśmy się z kumplem, ale do niego to jakby nie docierało. Nie siedział długo. Wstał, uklonił się jak burzuj i wyszedł na dwór, na tę pluchę... W ciągu tygodnia przychodził jeszcze parę razy do tej samej knajpy. Zawsze siadał sam. Działał mi na nerwy. Wyglądał, cholera, jak siedem nieszczęść. Kiedyś spotkałem go w WC, zacząłem gadać pieprzne kawały. Trochę się rozchmurzył. Pewnego wieczora byłem solidnie na gazie. Zobaczyłem że jak zwykle siedzi sam. Spytałem, czy chce się do nas przysiąść. Był zaskoczony, ale przyszedł. Właściwie nic nie mówił. Przytakiwał innym. Ale było fajnie. Jak człowiekowi gęba się nie zamyka, to dobrze znaleźć jelenia, co słucha. Może dla nas był zbyt dobrze ułożony, ale to nam nie przeszkadzało. Powoli przyzwyczailiśmy się, że siadał z nami. Pił wstrzemięźliwie, raczej dla towarzystwa. Forsę chyba miał, bo jak zaczęli go nazywać „pastorem”, nieraz pożyczał. Czasem peszył się, kiedy przychodziło mu płacić za kolejki. Przydomek sprawił, że ludzie zaczęli go naprawdę traktować jak duchownego. Zwierzali mu się ze swoich kłopotów. Jemu można było opowiadać. Chyba nigdy nikogo nie zawiódł. Nie rozpowiadał tego, co usłyszał. I niczego nikomu nie doradzał, po prostu słuchał, to wystarczyło. Czasami wtrącił słowo. Najważniejsze, że słuchał i to pozwalało na sprawy spojrzeć inaczej. Oczywiście, że byli i tacy, którzy go naciągali. Pożyczali pieniądze i ślad po nich ginął. On jednak dawał szczerze. Nigdy za dużo, ale zawsze coś. I nie obchodziło go, czy tracą na piwo, czy na co innego. Eila, pamiętasz „pastora”?

Kelnerka właśnie stanęła koło nas.

– Jakże by nie?! – uśmiechnęła się. – To był cudowny człowiek. Prawdziwy dżentelmen, a nie jak ci tutaj... Kiedyś potrzebowałam...

– Tobie też pomógł?

– Tak. I nigdy tego nie zapomnę. Syn mi zachorował... – Eila była samotna, ale miała syna, którego wychowywała razem ze swoją siostrą. – Więc potrzebowałam pieniędzy. Sama nie wiem, jak to się stało, że powiedziałam o tym „pastorowi”... a on bez słowa dał mi setkę... Potem nie chciał przyjąć, kiedy mu pierwszego oddawałam. Nie wziął i jeszcze tak dziwnie powiedział, że jest mi winien. Przecież nie miał żadnego długu!... Tak, to był wspaniały człowiek! A jak potem kasjerka powiedziała... Ech, lepiej bzdur nie powtarzać.

– Co powiedziała kasjerka?

– Że „pastor” – teraz Eila mówiła szeptem – to prawdziwy pastor, taki z kościoła, i że zabił... O tym przecież pisali...

Jorkka przerwał.

– Powiedz kasjerce, żeby się zamknęła... Niech nie wtyka nosa...

– Mnie to nie obchodzi, co ona gada, chociaż na tych zdjęciach... – Eila zmieszana się. – Przecież nawet dziecko by wiedziało... że on by nie mógł... To cudowny człowiek i wszyscy o tym wiedzą. Tylko czemu potem nie przyszedł? No tak, mnie za gadanie nie płacą. Co jeszcze mogę podać?

Zamówiliśmy następną kolejkę.

Zastanowiła nas opinia Eili.

Szczególnie mnie.

Nie miałem już wątpliwości co do tego, że „pastor” to Kettunen. Mam wrażenie, że inni też o tym wiedzieli, choć się z tym nie zdradzali.

– Chrześcijanin – pątnik! Nowy John Bunyan! Nasz wędrował po knajpach i tu miał przyjaciół. Ale na pewno przeszedł czyściec, piekło czy co tam jeszcze... Piekła nie musiał długo szukać. Na ziemi go nie brakuje. Niejeden przechodzi je za życia.

A cierpienie zostawia blizny.

Może to być gorycz i znieczulica. Ale może też być większa wrażliwość na cudzy ból...

Mnie osobiście życie znieczuliło. I teraz wiem, że brak mi czegoś, że coś utraciłem...

Nowe informacje zbiły mnie z tropu. Przecież Kettunen wydawał mi się skryty i bezbarwny. Moim zdaniem jako człowiek był zupełnie przeciętny. Po wizycie w osiedlu jego obraz stał się nieco barwniejszy, ale nadal daleki był od pozytywnego. Dopiero tutaj, w gronie kolegów, z którymi się jakiś czas nie widziałem, spotykam ludzi, którzy są niemal zakochani w tym człowieku, którzy w ogień by za nim poszli i nie mogą sobie wyobrazić, by mógł komuś wyrządzić krzywdę.

A przecież zabił. Tak stwierdzono i on sam przyznał się do winy.

7

W miasteczku N. zamieszkałem w hotelu turystycznym. Otoczenie było mi obojętne. Nie przeszkadzały mi cienkie ściany, choć po nocach nie spałem. Sen przychodził gdzieś nad ranem, kiedy w hoteliku było już cicho.

Jakoś dziwnie człowiek oswaja się z bólem. Powinienem o tym pamiętać z czasów wojny. Te pozbawione wyrazu twarze ludzi w schronach... Przecież byli wśród nich starzy, zmęczeni i chorzy. Ale rzadko kto się uskarżał.

– Człowiek przystosowuje się do rzeczywistości.

A mnie rzeczywistość wciąż wydawała się nierealna. Nieraz w nocy czułem, jakby mnie wir porywał. Ogarniał mnie ból i rozpacz, gorąca fala uderzała do głowy. W takich momentach byłem wprost wściekły, że to się stało. Mędrkowałem po szkodzie: gdybym zrobił tak a tak, wszystko byłoby inaczej.

Gdybym zaufał lekarzowi...

Wciąż miałem przed sobą przerażoną twarz żony, wciąż czułem na dłoni krew. Ciągle chciałem zmywać jej śliską lepkość, ale na próżno. Jakby to było przed chwilą.

Byłem bliski obłądu. Chciałem walić głową o mur tak długo, aż zatracę resztki świadomości, aż bodaj na chwilę uzyskam spokój.

Ale powoli, dzień za dniem, w miarę jak łzy mogły spływać z oczu, największy ból zaczynał cichnąć. Błogosławione łzy! Czułem, jak zabierają z sobą coś najcięższego, najboleśniejszego... Dziwię się, że rodzice często upominają dzieci, ostrzegają je przed płaczem. „Tylko baby płaczą” – mówią zawstydzając je, uczą nienawidzić łez. Mało kto uprzytamnia sobie, jak wielkim darem jest płacz.

Gdybym wówczas nie znalazł w sobie mocy tego daru, wątpię, czy przeżyłbym pierwsze tygodnie mojej tragedii. Dzięki łzom coś się we mnie ukorzyło, wraz z nimi ustąpił największy ból.

Jeśli pozwolicie, powiem wam: nie trzeba wstydzić się łez! Z każdą łzą nawiązuje się niteczka nadziei. Im płacz jest bardziej spontaniczny, tym lepiej.

Z bólem człowiek się oswaja. Przestaje mu być obcy i wrogi. Nie zmieni wprawdzie swej materii, ale stanie się bardziej przyswajalny, swojski. Zaakceptujesz jego obecność, współżyjąc z nim, i pewnego dnia wyda ci się mniej bolesny niż na początku.

Człowiek do wszystkiego się przyzwyczai – do bólu, do porażek, a w końcu i do siebie.

Jak dziś pamiętam moment, kiedy znów uprzytomniłem sobie obecność ludzi. Długo żyłem z dala od nich, wystrzegając się każdego z nimi zetknięcia. Aż pewnego dnia zderzyłem się w drzwiach wejściowych z kobietą, przeprosiłem ją, a ona się uśmiechnęła. Nie pamiętam już, co powiedziała. Chyba coś na temat ładnej wiosennej pogody. Dla mnie stało się to powrotem do ludzi. Może wewnątrz dojrzałem już do tego powrotu.

Może potrafię być taki jak inni, mówić, słuchać, a nawet znaleźć przyjaciół?

Zaraz poczułem się inaczej. Uśmiechnąłem się! Był to z pewnością uśmiech obcy i spaczony. Za długo nosiłem na twarzy inny wyraz. A jednak potrafiłem się znów uśmiechnąć, choć z przymusem.

Ból i pustka mieszkwały we mnie, nadal czułem mrok wokoło, ale tliła się już iskierka nadziei. Nękały mnie koszmary, wielokrotnie zrywałem się w środku nocy, ale oczekując poranka chciałem żyć.

Nadal unikałem ludzi i nie nawiązywałem z nimi kontaktu, ale już tak panicznie się ich nie bałem.

Parę kroków od hotelu była knajpa, obok której przechodziłem szukając miejsca na posiłki. W tym okresie jadałem w barze, ale nie smakowało mi tam, zapach tłuszczu coraz bardziej mnie drażnił. Pieniędzy mi nie brakowało. Miałem jednak pensję, no i okazałą sumę oszczędności. Przyszłość mnie zresztą nie obchodziła, a na bieżąco wystarczało.

Pewnego razu wieczorem odważyłem się wejść do knajpy. Było tłoczno, ale portier zaprowadził mnie do czteroosobowego stolika, przy którym siedziało już dwóch mężczyzn. Widziałem, że nikt w restauracji nie zwrócił na mnie uwagi. Mimo to zjadłem szybko i wyszedłem.

Zacząłem tam bywać częściej. Poznawałem stałych gości. Zaaprobowali mnie i to mi pomogło.

Z początku atmosfera knajpy była mi obca. Owszem, za studenckich czasów wypuszczaliśmy się nieraz. Dla studenta teologii był w tym smak zakazanego owocu. Po studiach rzadko wstępowałem do takich lokali, a już nigdy wieczorem. Miałem uprzedzenie do podobnych miejsc i środowiska. Teraz ze zdziwieniem stwierdziłem, że spotykam tu nieznanym ludzi, którzy dają się lubić. Jeden z nich, Tane, był moim ulubionym dyskutantem.

Widać ból i cierpienie zrobiły swoje: nie patrzyłem już na ludzi z góry, z dystansu, jak przedtem. Moja bezpośredniość nie była teraz wymuszona, podobnie jak miłość bliźniego. Zbliżyłem się do ludzi. Nie dzieliłem ich na grupy, nie stawiałem im żądań. Więcej, pozwalałem się nawet oszukiwać, jeśli któryś z nich pożyczka i nie pamiętał o zwrocie. Ja też miałem dług wobec życia.

Nieraz z uśmiechem rozważałem – to jeszcze zostało mi z funkcji pastora – że ludzie tym żarliwiej filozofują, im więcej wypiją i im mniej mają do powiedzenia.

Tu łatwo ścierały się opinie: nieraz ktoś najmniej oczekiwanie okazywał się gorącym orędownikiem wiary. W tej gromadzie hulaków Jezus z Nazaretu miał wielu oddanych przyjaciół. Ale często krytykowano Kościół jako instytucję.

W ocenach religii i Kościoła decydujące były doświadczenia osobiste. Jednego na przykład źle potraktowano w kancelarii kościelnej, drugi znał chciwego proboszcza, trzeci po rozwodzie obraził się na Kościół, ponieważ nie mógł dostać ślubu... Coraz wyraźniej widziałem, jak ściśle Kościół bywa wiązany z czysto ludzkimi układami.

Jest to zresztą zupełnie naturalne. Któż może być obiektywny, jeżeli tak czy inaczej nie szanuje się jego osoby?

Później dziwnie się złożyło, że w tej knajpie zyskałem jakby rangę kapelana.

Nim do tego dojdę, muszę opowiedzieć o serii wydarzeń, które to poprzedziły.

Zadanie jest trudne, ale spróbuję.

Niedaleko mojego hotelu był sklepik, w którym robiłem zwykle zakupy, z początku bowiem nie mogłem jadać nawet w barze. Zadawałem się kupnem mleka, chleba, masła, czasem pasztecików. W garmażerii kupowałem coś gotowego, potem szykowałem sobie jedzenie w pokoju hotelowym. Dlatego przez jakiś czas byłem regularnym klientem sklepiku. Z początku kupowałem szybko, niemal bez słów. Nie zawsze nawet patrzyłem, kto i co mi sprzedaje. Żyłem zasklepiony we własnych przeżyciach i wystrzegałem się każdego kontaktu z ludźmi.

W dniu, o którym będę mówił, wydarzyło się coś jeszcze.

Uświadomiłem sobie obecność kobiety. Zobaczyłem ekspedientkę, która mnie obsługiwała, i odważyłem się uśmiechnąć do niej. Odwzajemniła uśmiech.

Ale wtedy jeszcze jej nie zapamiętałem.

Przy następnych zakupach o coś mnie zagadnęła. Teraz wiedziałem: jasne włosy, okrągła buzia, niewysoka. Była miła, wesoła i życzyła mi smacznego.

Ta małeńka troska rozczuliła mnie. Kiedy siedziałem sam w hotelu, coraz częściej myślałem o dziewczynie. Brakowało mi ludzi, kontaktu z nimi, ich ciepła. Wyobrażałem sobie, że właśnie ona byłaby świetną partnerką.

Nic o niej nie wiedziałem. Może ma męża, dzieci, chłopaka?

Wyobraźnia znalazła sobie jednak punkt oparcia i może dobrze, że tak się stało. Za długo żyłem czasem przeszłym. Tylko ludzie pomogą mi zrobić krok naprzód.

Może wszystko zostałyby w sferze fantazji. Nie zamierzałem umawiać się z nią, nawet sobie tego nie wyobrażałem. Ale któregoś wieczora przechodziłem obok sklepu w chwili jego zamykania. Ukłoniłem się. Dziewczyna szła w tym samym kierunku. Chciałem przyspieszyć albo zostać w tyle, ale ona prosto i wesoło zapytała, co u mnie słychać. Teraz już uciec nie mogłem, więc szliśmy razem. Jakby w odpowiedzi spytałem, czemu tak późno wraca do domu, że pracę ma chyba ciężką. Śmiała się, że jadam tylko chleb z kiełbasą...

Zaczęło się więc od spraw powszednich. Pożegnałem ją tuż za rogiem. Poszła swoją drogą, a ja skręciłem w boczną uliczkę. Zły byłem na siebie, że stchórzyłem. Poszedłem do znajomej mi knajpy, tu czułem się raźniej. Mówiłem sobie, że niczego o tej dziewczynie nie wiem, nie znam nawet jej imienia. Czemu więc myślę o niej?

Ale niczego to nie zmieniło. Wciąż na nowo odżywała w pamięci jej sylwetka, słowa... Z niecierpliwością oczekiwałem następnego dnia, żeby ją znów zobaczyć.

Skoro mogła mnie tak zafascynować, czy znaczy to, że wracam do zdrowia?

Nauczyłem się wówczas jeszcze jednego – i to zawdzięczam znajomym z knajpy. Otóż powrót do życia może nastąpić tylko poprzez kontakty z ludźmi, przez życie. To zrozumiałem dzięki zwykłym hulakom. Dzięki temu, że przyjęli mnie bez uprzedzeń, bez wypytywań, mogłem wyrwać się z odrętwienia. Spostrzegłem, że inaczej widzę teraz miłość bliźniego, o której tak dużo mówi się w Nowym Testamencie. Podkreślając znaczenie tej miłości, Jezus nie dawał żadnych wskazówek etycznych czy moralnych, jak to dotychczas mylnie interpretowałem. Hasło „Kochaj bliźniego jak siebie samego” nie było żadnym rozkazem ani miarką postawioną przed chrześcijaninem. Słowo Jezusa nie było nakazem, tylko Ewangelią. Słowo nie zobowiązywało, tylko chciało pomóc. Odnalezienie utraconego kontaktu z ludźmi było jedyną drogą, żeby wyrwać się z piekła samotności i egoizmu zatruwającego dusze. Bez bliźnich, bez głębokiej więzi z innymi ludźmi byłem skazany na potępienie wieczne. Dzięki kontaktom z ludźmi otwierała się droga do Nieba.

„Ja jestem drogą...” „Tak Bóg ukochał świat...” Droga i miłość – to dwie nazwy tej samej prawdy. Im ważniejszy stawał się dla mnie bliźni, tym bliższy byłem Boga. Ale bliźni nie był ogniwem pośrednim drogi do Boga ani warunkiem koniecznym do spełnienia. Zaczynałem rozumieć, że więź człowieka z człowiekiem, jeśli zaistniała na podłożu miłości, ma w sobie coś z Boga.

W „Kawiarze” w kłębach dymu od papierosów, w szumie, rozmów pojąłem, że życzliwości wobec bliźnich nie wolno niczym warunkować ani ograniczać. Bywali i tacy goście, których wedle przyjętych zasad można by nazwać niemoralnymi. Wszyscy – albo przynajmniej większość z nich – żyli w grzechu, który tak kiedyś piętnowałem z ambony, gromiąc nikczemność świata, nawołując do skruchy i nawrócenia.

Moralizowałem bezkompromisowo. To nie była Ewangelia. Teraz ukorzyłem się i zrozumiałem, że w naszym stosunku do bliźniego stopień jego moralności nie ma żadnego znaczenia. Właśnie w tej prawdzie kryje się jedyna w swym rodzaju odrębność wiary chrześcijańskiej i prawdziwej Ewangelii. Źle to dotychczas rozumiałem i równie źle interpretowałem. Uznawałem moralność tych, co bili się w piersi i byli pewni siebie. Tych, którym Jezus powiedział: „Zaprawdę powiadam wam, że celnicy i grzesznicy przed wami wejdą do Królestwa Bożego”.

Celnicy i grzesznicy mniej chciwi byli godnego wejścia do Królestwa Bożego. Dlatego mniej było wśród nich moralizatorstwa i faryzeuszostwa.

Moja „restauracyjna parafia” wiele mnie nauczyła.

– Póki pamiętam: delegację masz zatwierdzoną. Możesz wziąć zaliczkę na wyjazd. Na razie nie przeholowałeś z wydatkami. Czyżby Kościół nauczył cię umiaru?

Roześmiałem się.

– Kto z nas, drogi przyjacielu, zna źródło dobra i zła? Powiadam wam...

Wybuchnął śmiechem.

– Nie mówiłem?! Lepiej zamówić u ciebie książkę do nabożeństwa! Tylko żeby była chodliwa.

– Damy frapujący tytuł i jaskrawą obwolutę. Na przykład: „Od birbantek do anielskich chórów”. Albo: „Odpuszczone grzechy...”

– Znając cynizm dziennikarski wystarczy napisać: „Wierzący dziennikarz”.

– Rzucać perły przed wieprze!

– No więc do rzeczy. Jak sprawy wyglądają?

– Jak zmoknięta szkapa.

– Zaraz... Powiedz coś: muszę być poinformowany, skoro płacę i to zdrowo.

– Kiedy na razie nic nie wiem, ciężka sprawa...

– Mówiłeś, że jesteś na właściwym tropie.

– Im więcej brudów, tym lepiej, co?

– Niczego nie chcę poza prawdą. – Podniósł palce jak do przysięgi w serialach telewizyjnych. – *So help me God!*¹

– Czemu to ciebie tak interesuje? *Something personal?*²

– Przecież już na początku... Znów mam wyjaśniać?

– Niepowtarzalna struktura ludzkiej duszy! Oczywiście, że interesujące, ale niezbyt konstruktywne. Zresztą pasuje jak garbaty do ściany.

Szef zainteresował się.

– Jak to rozumiesz?

– Widzisz... Jakbyś układał klocki z innej gry... Nie pasują do siebie.

– Wszystko będzie dobrze. Tylko komentarz zrobi kto inny, sam go nie pisz. Czuję, że w tej historii coś jest. No, gadaj, zobczymy.

Opowiedziałem. Chwilami przerywał, wypytywał – widać, że go to zaciekało.

– Ależ kalejdoskop typów! To posterunkowy chciał, żebyś spływał? Niezłych mamy stróżów ładu!

„Kawiara” też go zainteresowała.

– Ciekawy zakątek! Coś o tej knajpie słyszałem. Więc nasz przyjaciel dostał się między wieprze...

– Słuchaj! Tam są perły. Nie myśl, że policja... Z tą ferajną się nie wpada. A jak cię przyjmą, to zaszczyt.

¹ Tak mi Boże dopomóż (formuła przysięgi).

² Sprawa osobista?

- Może i ja zaszczytu dostąpię.
- Poddaj się, żeby nie było rozczarowań.

Relacjonując, raz jeszcze wszystko analizowałem. Muszę przyznać, że prawda wydawała się bardzo odległa. Nie widziałem nawet jej konturów. Najpierw wszystko wydawało się proste. Ktoś znalazł się w matni. Tym razem był to pastor. Do licha! Co minutę czy nawet sekundę ktoś na świecie ginie. Nie licząc wojen. Czy tę sytuację tutaj można uważać za szczególną? Takie jest życie.

Ale czułem duchową więź z tą właśnie sprawą. Męczyło mnie to, nie dawało spokoju. Prawdę mówiąc nawet trochę się bałem. Nie obawiałem się pogroźek, ale drżałem o samego siebie, o swój spokój, równowagę, jaką sobie ukształtowałem...

– Czekaj no... zastanów się, co robić. – Mój szef był niezmordowany w pomysłach. – Czy prosiłeś go, żeby coś o sobie napisał?

– Owszem. Wtedy, kiedy go spotkałem. Ale pewno nic nie napisze. Nawet mi nie odpowiedział. W tej swojej celi wyglądał jak zasuszony soliter. Nie przypuszczam...

– Nigdy nie wiadomo! Pamiętaj! Możesz go jeszcze raz prosić, kiedy sprawa znów wejdzie na wokandę. Zaproponuj wyższe honorarium, tysiąc albo więcej. Stawki znasz. Taki materiał byłby na wagę złota.

– Za wiele się nie spodziewaj. I tak będą kłopoty z wyciągnięciem niewodu. Ale bym się nie śmiał...

– Co cię ignębi?

– Mówiłem. Gęba nie pasuje do obrazu!

– Myślisz, że nie zabił?

– Nie o to idzie... Przecież sprawdzali. Zresztą on sam się przyznał.

– Po księżulkach wszystkiego można się spodziewać. Jak chcą, tak kręcą. Choroba, teraz i ja nie jestem pewny...

– Przecież wszystko jest jasne!

– Przekonamy się. Tak się złożyło, że znam prowadzącego śledztwo. Zaczekaj chwilę, zadzwonię. Weź drugą słuchawkę.

– Masz wyposażenie jak gangster!

– Muszę. Różni ludzie telefonują. Czasami dobrze mieć świadka rozmowy.

Po wielu wydzwanianiach połączył się z komisarzem Vanttinenem. Od serdecznych powitań aż się kable trzęsły.

– Jeśli wpadłeś w tarapaty przez swoje porno, to, cholera, palcem nie kiwnę.

– A ja wolałbym dostać anonim, to by mi pomogło w reklamie. Przykro mi, ale nie o to chodzi. Słyszałem, że źle traktujesz więźniów, przyznaj no się!

– Gdybym mógł! Teraz nie ma na to silnych. Aresztantów owijamy w gąbkę, żeby się broń Boże nie potłukli. A w czasie śledztwa policjantki trzymają ich za rączki. Ci zatwardziali strasznie wtedy płaczą za mamusią. Komendant straży musi im nawet śpiewać. Widzisz, każdy z nas, zanim trafi na oddział, musi przejść kurs śpiewu. A jedzenie też dostają *à la carte* z lux-restauracji.

– Więc skarga odwołana. Słuchaj. Czy ty prowadziłeś dochodzenie w sprawie Kettunena?

Komisarz milczał chwilę, wreszcie ostrożnie zapytał:

– A chciałeś coś dorzucić?

– Po prostu mnie to zaciekawiło. Słuchaj...

– Daliśmy wszystko, co nadawało się do prasy. Bądź miły i przejrzyj.

– Czytałem. Ale może masz coś nowego?

– Nie. – Odpowiedź Vanttinenena była krótka i chłodna. – Sprawa jest jasna jak dzień. Od sądu zależy, czy dojdzie jeszcze opinia biegłego psychiatry. A czemu cię to interesuje?

– Powiedzmy, ludzka ciekawość. Czy zeznania się pokrywają?

– Jak najbardziej. Powinieneś być czytać... Chociaż, nie obrażając cię, może treść była zbyt skomplikowana jak na wasze możliwości. Więc proszę cię bardzo. Na trzonku noża, którym dokonano zbrodni, są doskonale widoczne ślady palców prawej ręki oskarżonego. Dalej: świadkowie widzieli, jak opuszczał pokój. Na płaszczu krew tej isamej grupy co krew denatki. Poza tym on sam dzwonił, prosił, żeby go aresztowano, przyznał się do wszystkiego. O, cholera, żeby wszystkie sprawy były tak jasne, to prócz marnej pensji i bezrobocia nie byłoby powodu do narzekań!

– Skąd dowiedzieliście się o czasie i przebiegu wydarzeń?

– A niech cię! Jeszcze ci mało? Dobra. Więc to jest stary dom, tam gdzie dokonano zbrodni, i w tym czasie chodził też inkasent. To jest kawalerka, a właściwie pokój w starej ruderze. Kobieta wtedy żyła. Jakieś pół godziny później sąsiadka spotkała Kettunena na korytarzu i stwierdziła, że „dziwnie wyglądał”. Niedługo potem otrzymujemy telefon i w ciągu paru, no, powiedzmy: dziesięciu minut policja kryminalna jest na miejscu. Lekarz określił godzinę zgonu niemal dokładnie. I to wszystko. Wydaje mi się, że nie trzeba tego więcej wałkować, bo naprawdę do niczego nie dojdziemy.

– Nie denerwuj się. Przecież zapytać można. Niczego nie chcę obalać. Spytałem, bo niektórzy powiadają, że pastor jest cichy jak baranek.

– Do licha, ależ jesteś naiwny! Chyba wiesz, że wygląd o niczym nie świadczy. Zresztą co ci będę tłumaczyć. Daj sobie z tym lepiej spokój, bo tu nie ma się czego dopatrywać. Możesz mi wierzyć.

– Oczywiście. Nie unoś się, ty formalisto! Zawsze, kiedy porządny człowiek chce się czegoś dowiedzieć, dostaje od was po nosie...

Na tym rozmowa się skończyła.

– No więc słyszałeś. Czy masz jakieś wątpliwości? – zapytał szef, kiedy odłożyłem słuchawkę. – Mnie się zdaje, że tu wszystko jest proste.

Kiwnąłem głową. Chyba tak. Czyli zakładamy, że pastor jest winien, obojętne, czy pasuje to do obrazu, czy też nie.

– Chyba musisz jeszcze poszperać, żeby lepiej naświetlić charakter Kettunena. Myślę o jego funkcji. Gdybyś w mieście znalazł jakiegoś duchownego, który by ci pomógł... A jeśli idzie o zamordowaną, zajrzyj do jej miejsca pracy, do domu, w którym mieszkała... W naszym fachu trzeba wszystkie strony obwąchać... Może jednak pastor napisze coś...

Potrząsnąłem igłową.

– Nie przypuszczam. I tak chodzi jak pomyłony.

Uzgodniliśmy, że wrócimy do tematu, jak czegoś się dowiem. Poszedłem do kasy po pieniądze. Kieszon pełna. Nawiasem mówiąc miałem już dość tej sprawy. Zakończenie jej wydawało się banalne, tak pospolicie jasne. Jakiś przestępca zrujnował swoje życie. Nieraz się to zdarza.

Zaszedłem do knajpy. Choroba, kiedy brałem zaliczkę, myślałem, że kończę już tę całą historię. Ścierwnik. Tak właśnie lekarz mnie nazwał. I tak się czułem. Duchowa prostytutka, co za pieniądze dostarcza tekstów dla zaspokojenia najniższych ludzkich instynktów.

W barze wypilem drinka i usiadłem przy pustym stoliku.

O czym w tej chwili myśli pastor? Jemu też nie jest wesoło. Nikomu. Na każdym kroku, gdziekolwiek spojrzeć, świat pełen jest brudu.

– Proszę panią, jeszcze jednego!

– Mnie również! – Znajomy głos. No tak, kumpel z pracy, tyle że z innego działu, z dziennika. Wysoki, chudy, w okularach na nosie, uchodzi za bystrego. – Lauri Ruohonen, starszy redaktor najniższej siatki płac – przedstawił się aż nazbyt głośno. – Można usiąść?

Co mogłem odpowiedzieć? Dobrze, że znalazł się chętny do rozmowy.

Lauri zapalił, rzucił puste pudełko do popielniczki.

– Połowa dnia i jeden zapas poszedł. Tak przygotowuje się nieboszczyków: wódka, kawa i papierosy. Jadłospis bezdyskusyjny, co?

Lauri zaliczał się do dziennikarzy idealistów, choć gdyby o to zagadnąć, na pewno sam by zaprzeczył.

Zapytał, co słyhać, i zaczął opowiadać redakcyjne nowinki. Jakies zakulisowe problemy politycznych rozgrywek, kawały, które już ze trzy razy słyzałem, plany urlopowe.

– A co u ciebie? – Zaskoczył mnie. Zdążyłem się już wyłączyć i pogrążyć w myślach.

– Co ma być? Jakoś leci. Zależy, kiedy.

– Szykujesz coś?

– Pamiętaj, że moim punktem wyjścia jest pieniądź.

– A ja sądziłem, że pisarz pisze, kiedy muzy nakazują. No, jak to jest? Powiedz, co wtedy czujesz?

– Pierwszym objawem jest burczenie w brzuchu. – Byłem na tyle swobodny, że zacząłem sam mówić o sprawie, która mnie dręczyła: – Przypominasz sobie historię pastora, który zabił ekspedientkę?

– Owszem. Tylko że ja się tym nie zajmowałem, wziął to ktoś inny: A o co chodzi?

Pobieźnie opowiedziałem historię. Szczegóły pominąłem, choć wiem, że Lauri nie należał do tych, co kradną tematy.

Słuchał uważnie.

– Rzeczywiście – powiedział – bywają sprawy, przez które można znienawidzić nasz zawód. Nieraz człowieka trzęsie, kiedy przegląda pisma, które egzystują i dorabiają się fortuny na brukowych sensacjach. Nie, nie ciebie mam na myśli, rozumiesz chyba... Znasz dobrze to zjawisko.

Znam. Wiem i to, że większość dziennikarzy godnie przestrzega zasad ogólnie przyjętej etyki zawodu. Jeśli sensacja, to na podstawie faktów. Nic nie zatajać ani nie prowadzić na manowce.

– Ze sprawą Kettunena wiąże się i to, że Kościół jest szczególnie obserwowany – mówił dalej Lauri. – Żyjemy w dziwnych czasach, pełnych pieniactwa. Prowadzę dział polityczny. Tu jest to samo. W każdej partii tarcia i rozłamy. Nawet wśród komunistów. W środowisku artystycznym, które ty z kolei znasz lepiej, jest podobnie.

– Owszem. To prawda. Ale w kręgach artystycznych zawsze wrzało. Może na tym polega mnogość kultur, jak się to ładnie określa. – No, tak... Ale czasem mam dosyć. Czemu wszyscy się upierają, że mają rację? Żeby tak każdy raz w roku przyznał się do błędu... Obawiam się, że wtedy nikt by się nie pomylił.

Świetna myśl! Jest dzień matki, dzień ojca, a to byłby dzień przyznania się do winy. Czemu nie?

– I założenie na wskroś chrześcijańskie.

– No tak. Z tym trzeba się zgodzić. – Lauri ożywił się. – Pomyśl! Jeden dzień, a jaka terapia dla całego narodu. No, powiedzmy – dla rodziny. Czasem tak cholernie trudno się przyznać, powiedzieć: „Przepraszam, pomyliłem się”. *A propos* Kościoła – należy stwierdzić, że przeprowadza on w swych szeregach szeroko zakrojoną samokrytykę. O tym już głośno w zainteresowanych kręgach.

– Widzę, że to środowisko jest ci doskonale znane.

– Nie. Ale czasem czytam pamflety i inne utwory satyryczne. Niektóre pochodzą z kręgów kościelnych. Znaleźć tam można śmiałą krytykę instytucjonalizmu, ostrą ocenę form publikacji, chęć oderwania się od błędnych tradycji i nawet asekuranctwa. Wszystko to jest, wierz mi.

Nie zaprzeczałem. Z tym że ja odnosiłem się do tego pesymistycznie. Moim zdaniem schematyzm postępowania i skostnienie Kościoła jest tak głębokie, iż nie bardzo wierzę w możliwość odnowy. Sprawa Kettunena natomiast to zupełnie co innego: tragedia jednostki. I to musiałem przeanalizować.

– Jednostka jest zawsze nosicielem cech swojego społeczeństwa i jego kultury – przypomniał Lauri. – Nie weźmiesz człowieka pod szkło, żeby go badać w oderwaniu od innych. Czysty indywidualizm w ogóle nie istnieje.

Ktoś to już powiedział. Oczywiście, że to prawda.

– Poglądowo sprawa wyglądałaby tak – rzekł Lauri. Wyciągnął z kieszeni cieniutki portfel i położył na stoliku. – Weź go!

Roześmiałem się. Co mi po nim, taki chudy!

– Więc albo weźmiesz, albo zostawisz, nie? No, dobra! Cokolwiek byś zrobił, twój wybór nie będzie zależny tylko od ciebie, ale też od środowiska, w jakim się wychowałeś, od twojej etyki, nawyków, wychowania i doświadczenia przy dokonywaniu wyboru. Żadna decyzja nie jest zupełnie samodzielna, ponieważ składa się na nią cały łańcuch przyczyn i skutków. W dodatku wynik zależy bardziej od tych czynników niż od ciebie. Więc twoja wola nie jest wcale wolna, choćbyś się zaklinał.

Byłem gotów zgodzić się z tym rozumowaniem, choć nie wiedziałem, do czego zmierza.

– Pastor, o którym mówiliśmy, też nie jest wyizolowany. Jest nosicielem cech systemu społecznego, w którym żyje, ideologii, którą wyznaje, plus wielu innych rzeczy. Jeśli zaś zajmuje się Kościołem, to wydaje mi się, że nic dziwnego, iż człowiek z tych kręgów bywa nieraz w rozterce.

– Przecież pastor powinien być duchowo ustabilizowany...

– Pomyśl, co my właściwie wiemy o Kościele jako instytucji, łącznie z gmachem, hierarchią, liturgią? Co wiemy o założycielu tej reldgii, Jezusie? Może to niewiedza prowadzi do rozbieżności między teorią a praktyką i konfliktów, których ciężar jest nieraz olbrzymi? Nie wszyscy radzą sobie z takim brzemieniem, niektórzy załamują się, zwłaszcza gdy sytuacja w życiu prywatnym nie jest łatwa.

Dyskusja zmierzała ku granicy, której się bałem, granicy, za którą ukryta była prawda. A przecież mogła ona zniszczyć konstrukcję, na której oparłem życie. Odwróciłem się.

– Do licha, mówisz jak wierzący!

Lauri wzruszył ramionami. Kto wie, czy właśnie w tym nie tkwi cały urok: być wierzącym?

– Niestety, nie. Prawdopodobnie nie odważam się nim zostać. Ale jeśli chcemy rozumować logicznie, sprawa wygląda właśnie tak. Więc jak mówiłem, nic dziwnego, że niektórzy załamują się pod tym ciężarem.

– Ale popełnić zbrodnię?! – powiedziałem chłodno. – Przecież tu nie chodzi o jakieś konflikty, rozterki, tylko o zbrodnię, o zamordowanie człowieka.

Kolega zawahał się.

– Tak, to prawda. Chociaż sam czyn nie jest sprzecznością. Różnica polega na odbiorze przez bliźnich, na oddziaływaniu na nich. Zgadzam się z tobą. Zresztą nie wiem...

– Morderstwo jest zawsze morderstwem, czymś krańcowym, nieodwracalnym!

– A jednak kiedyś zastanawiałem się, że w ocenie przestępstwa powinno się więcej uwagi zwracać na badanie i analizę motywów. Oczywiście, z morderstwem łączy się zawsze jakieś szataństwo...

Nie poruszaliśmy Już więcej drażliwych i trudnych tematów. Jakbyśmy się czegoś bali. Rozmawialiśmy o dniu dzisiejszym, plotkach, polityce, kobietach – o sprawach, które nie rodzą kłopotliwych myśli.

Człowiek czuje się dobrze, kiedy ma odpowiedź w zanadru.

Życie jest wtedy dużo pewniejsze.

Do kaduka! Odkrywczy koryfeusz – to zupełnie co innego!

8

Tygodnie poprzedzające ostateczną tragedię stanowiły jeden z najciekawszych okresów mego życia. Odkryłem nowy świat, o którym nie miałem pojęcia. Jako kapłan obracałem się dotąd w środowisku kościelnym. Gdziekolwiek przyszedłem, ludzie znali mnie, szanowali, nieraz czuli się skrępowani w mojej obecności. Obowiązki kościelne – chrzty, śluby, pogrzeby – wiodły mnie też do domów i ludzi, którzy nie byli członkami Kościoła. Dla nich była to instytucja, która podtrzymuje piękne tradycje i organizuje uroczystości religijne. Kiedy zgodnie ze zwyczajem brali w nich udział, szczególnie na Boże Narodzenie, wielu traktowało to jak wyprawę do pięknego i romantycznego świata zdobnego patyną czasu.

Dopiero teraz widzę, jak trudno mi znaleźć wspólny język z ludźmi spoza mego kręgu. Oni w głębi serca chowają swoje myśli, może i buntownicze, choć zamaskowane poprawną manierą. Kiedy byłem kapłanem, potrafiłem to wyczuć. Ale tak przywykłem do obyczajów życia kościelnego, do swojego środowiska, że coraz bardziej oddalałem się od zwykłych ludzkich spraw i ich świata. Należyte wypełnianie obowiązków pochłania ogromnie dużo czasu. Człowiek nie ma kiedy myśleć o czymś innym, tylko o pracy dla swojej gminy.

Żyłem jak w klasztorным ogrodzie, otoczony murami, wśród tych, którzy byli bliscy kościelnemu podwórku. O nich się troszczyłem, przejmowałem, cieszyłem. Gniewało mnie, jeśli ktoś usiłował naruszyć ten spokój. Człowiek zawsze może siebie wytłumaczyć. Czytałem kiedyś, że Biblia popiera taką izolację od życia. „Na świecie jesteście... przygniataani...” Czy człowiek może znaleźć wiarę na powierzchni ziemi? Kiedy chce uciec od życia, ma wiele punktów oparcia. Grupa wiernych stanowiła mniejszość i doświadczała nienawiści świata. Po co więc miałem czegoś szukać, skoro to stado dano mi pod opiekę?

Zdarzały się też inne postawy. Pisano o nich w „Ojczyźnie” i gdzie indziej. Ludzie reprezentujący odmienne poglądy żądali dyskusji i nie wahali się przed krytyką, ostro atakując stare tradycje i przestarzałe formy.

Wtedy nie widziałem w tym żadnego sensu. Jak można pytać nawróconych, co myślą o Kościele, albo grzeszników, jak Kościół ma się poprawić?! Do dziś pamiętam, jak byłem tym to oburzony. Brukają święte słowa, niszczą podstawowe wartości wiary chrześcijańskiej – myślałem. Umizgają się do świata. A przecież głosimy, że trzeba utrzymać wyraźną granicę między nami a światem. Trzeba namawiać do nawrócenia, a bezwzględna kara straszyć tych, co depczą moralność i dobre obyczaje. Moim ulubionym powiedzeniem było, że choćby cały świat stał się socjalistyczny, chrześcijaństwo tego nie może przyjąć! Jakże jednak wielu myślało tylko o swojej prywatnie, kiedy występowałem przeciw socjalizmowi...

Byłem twardym, bezwzględnym idealistą, człowiekiem o żelaznych zasadach. Innym moim powiedzeniem było: „Cierpliwość ma swoje granice”. „Czuwajcie – wołałem – bo czas jest krótki! Dni są policzone! Patrzcie, co dzieje się na świecie przed naszymi oczami, i strzeżcie się, by Syn Boży, kiedy przyjdzie, nie miał powodu powiedzieć wam: idźcie precz!”

Ileż było w tym błędów i zakłamania!

Kiedy runęły moje poglądy, nauczyłem się inaczej patrzeć na świat i bliźnich. Uprzedzenia rozpadały się kolejno. Alkoholicy, ateści, rozwodnicy... Dawniej przerażony odsuwałem takich ludzi od siebie, segregowałem na pięczki, każdemu doczepiałem tabliczkę z domniemaną wartością i odchodziłem. Trwało to dopóty, aż prości ludzie wciągnęli mnie między siebie, zmusili, bym żył między nimi, zbliżył się do tych obcych mi i dziwnych bliźnich. I runęły wszelkie o nich wyobrażenia.

Znalazłem nowych przyjaciół nawet wśród tych, którzy zwali siebie komunistami. Zachwyciły mnie ich ideały, choć bolał stosunek do Kościoła i chrześcijaństwa. Po raz drugi zapytałem siebie: dlaczego między tymi światopoglądami – chrześcijaństwem i komunizmem – powstała przepaść? Przecież wiele głoszonych idei wywodzi się z identycznych założeń, mających na celu dobro człowieka. Jednocześnie zabawny jest fakt, że wśród komunistów, w naszym kraju i gdzie indziej, powstają kierunki, które oni też zwą sektami, zupełnie jak w środowisku kościelnym.

Byłem fundamentalistą, reprezentantem skostniałego ducha prawa w Kościele. Komuniści też mają swoich fundamentalistów, zwolenników dogmatyzmu. Tu i tam są rewizjoniści, reformiści i inni. Każdą z tych grup można dopasować do odpowiednich sekt religijnych.

Im bardziej obiektywnie starałem się traktować wypowiedzi różnych ludzi, tym ostrzej widziałem, jak wąski i subiektywny bywa tak zwany pogląd na świat. Tak chyba być musi, bo modelujemy go z czynników, na które sami wpływamy. Słusznie pisze Paweł w swoim Liście do Koryntian, że nasza wiedza jest ułomna, że mądrość tego świata jest głupstwem u Boga.

Szkoda, że tego tematu nie poruszano na synodzie, gdzie dyskusje były bardzo ciekawe i dynamiczne. Tutaj też trafiali się różni bojownicy: członkowie klubów, amatorzy wolnoamerykanki, gdzie każdy chwyt jest dozwolony, mistrzowie teologicznego floretu, skoczkowie o tycze, którzy preferowali przeskakiwanie faktów, długodystansowi narciarze, którzy powoli, lecz stale chcieli sunąć do przodu.

Uparty fanatyzm. Żeby tylko mieć rację, za wszelką cenę! Czy jednorodna prawda ukryta jest za tą grą poglądów? A może wszystko jest bezsensowną, bezcelową wędrówką ludzkich myśli? Czy istnieje jakaś więź, która łączy to wszystko?

Czasami obcowanie z ludźmi wydawało się fantasmagorią. Zapominałem wówczas, gdzie jestem, do kogo mówię. Wsłuchiwałem się w kulminującą i opadającą kakofonię mowy, bezsensowny harmider ludzkich głosów. Słowa, słowa, tak, inaczej i jeszcze na odwrót. Czasami chciałem zatykać uszy rękami, żeby choć na moment uzyskać ciszę i spokój. A przecież jednocześnie w tym cyklonie słów można było odnaleźć słowa przyjaciół, bliskich, bliźnich. Trzeba było tylko uzbroić się w pokorę i wyrozumiałość.

Wtedy Maria przyszła mi z pomocą.

Między nami nawiązała się przyjaźń, która mnie wiodła do zdrowia. Najbardziej charakterystyczna cecha przyjaźni to bezinteresowność i spontaniczność. Bez ciężaru obowiązków i wymagań. Oboje wiedzieliśmy, że wszystko, co nas łączy, jest przypadkowym, wciąż odnawiającym się darem.

Nie wiedliśmy dysput na poważne tematy. Powagę tworzył urok wzajemnych spotkań, rozkosz obcowania i obopólna troska. Przed wszystkim jednak wzajemna akceptacja.

Nie przeżywaliśmy stresów.

Każde z nas miało swoją przeszłość, ale nie wypominaliśmy jej sobie ani analizowaliśmy. Z pobieżnych obserwacji wywnioskowałem, że w życiu Marii były różne związki z mężczyznami. Może były one ucieczką przed szarżą, samotnością. Może było to pragnienie zbliżenia, znalezienia kogoś bliskiego. Oczywiście znaczną rolę odgrywała potrzeba czysto fizyczna. W okresie mej samotności doświadczyłem, jak wielkie to ma dla człowieka znaczenie.

Nonsensem byłoby nazywać Marię kobietą lekkich obyczajów. Tak już jest w życiu, że człowiek tęskni za tym największym zbliżeniem, jakim może być stosunek między kobietą a mężczyzną. Instynkt jest naturalny i słuszny. Błąd polega na tym, że jego zaspokojenie przejawia się tak różnie – od prymitywnego grubiaństwa do patologicznej perwersji. Duży wpływ ma kultura, w której żyjemy, wygórowany kult seksu, fałszywy wzór miłości podawany przez tę kulturę. Jeśli człowiek, który nie jest dostatecznie dojrzały, źle skieruje swój instynkt, potraktuje go wulgarnie i lekkomyślnie, głównej winy należałoby się doszukiwać w dolegliwościach społecznych.

Przyczyną upadku człowieka jest między innymi sprzedajność naszej kultury, prywatna chęć zysku. W działaniu indywidualnym czy grupowym rzadko przyświeca nam bezinteresowny cel: pomoc bliźniemu. Najczęściej idzie o wyniesienie takich czy innych korzyści osobistych, o pozycję, wpływ, prowizję. Dlatego nie mogę ani się odważyć sądzić jednostek ulegających załamaniu.

Nauczyłem się akceptacji i wyrozumiałości.

Maria nauczyła mnie tego. Nauczyli także ludzie, wśród których żyłem przez ostatnie tygodnie. Ci zwykli ludzie byli bardziej szczerzy i jakby inni. Życie zdarło z nich błyszczącą glazurę, odkryło rdzeń prawdy.

O jednej sprawie chciałem jeszcze wspomnieć.

Któregoś dnia ktoś zadzwonił do Marii. Poszła otworzyć. Usłyszałem ostrą rozmowę prowadzoną półgłosem w przedpokoju. Był tam – sądząc po głosie – jakiś młody mężczyzna. Próbowałem nie słuchać, ale pojedyncze słowa wdzierały się aż do pokoju: „Nie przychodź więcej, rozumiesz?” „Kogo, cholera, masz...” „Wyjdź, proszę!” „...skur..., jeszcze mnie usłyszysz!”...

Za chwilę trzasnęły drzwi i Maria gwałtownie zarumieniona wróciła do pokoju.

– Znajomy? – spytałem.

– Nic ważnego – powiedziała. – Kiedyś był, ale to minęło. Taki bezczelny...

Kiedy wychodziłem wieczorem, zdawało mi się, że ktoś mnie śledzi. Stałem przy wystawie i obejrzałem się. Ulica była pusta, ale jakieś dziesięć, może piętnaście metrów za mną stał młody mężczyzna. Udawał, że ogląda samochód. Poszedłem dalej. On też, jak się zorientowałem, ruszył za mną.

Nie bałem się, ale byłem zły. Dopiero na ruchliwej ulicy poczułem się raźniej i przyspieszyłem kroku.

Przez parę następnych dni odnosiłem podobne wrażenie. Próbowałem sam coś wykryć, ale mi się nie udało. Zwaliłem to na karb nerwów.

Z Marią nie rozmawiałem o tamtej wizycie ani jej nie opowiadałem o swoich podejrzeniach. Nie interesowała nas przeszłość. Żyliśmy dniem dzisiejszym.

Pewnego wieczora, kiedy siedziałem w „Kawiarze”, podszedł do mnie niechlujnie ubrany młody człowiek. Był chyba pijany. Zobaczyłem go tuż przy naszym stoliku. Siedział wówczas ze mną Tane i ktoś jeszcze. Mężczyzna chwycił za moje krzesło i zaczął nim trząść tak, że omal nie zleciałem. Klął i krzyczał:

– Wiem, ktoś ty taki, s...synu pastorku, odwal się od mojej dziewczuchy!

Spurpurowiałem. Próbowiałem wstać, ale on przygwoździł mnie do krzesła i nie wiem, co by nastąpiło, gdyby nie Laukkanen, który złapał przybysza pod pachy i z takim impetem rzucił prawie pod drzwi, że ten zdębiał i słowa już nie mógł wykrztusić.

Coś tam mruknąłem do obecnych, ale byłem wstrząśnięty. Nazwał mnie pastorem. Więc wiedział coś o mnie. Przypuszczałem, że to ten, który mnie śledził. W „Kawiarze” takie przypadki się zdarzały i nie wzbudziło to większej sensacji. Słyszałem rzucane w moim kierunku żartobliwe odezwania: „Co, pastorku, spać musisz na worku?” „Jak tam, chłopie, czy ci mówić popie?” Dzięki temu zdarzeniu odzyskałem miano pastora. Nawet ucieszyłem się z tego. Widać nie dane mi jest zerwać z kapłaństwem. I tak się złożyło, że zacząłem nawet działać jak pastor. Mój nowy przydomek widać skłaniał ludzi do zwierzeń.

A może wieloletnie pełnienie funkcji wyciska na człowieku swoje piętno i dlatego ludzie czuli we mnie kapłana? Może chodzi o dobór słów, postawę, nawyki? W każdym razie zostałem odtąd „kapelanem” i niektóre obowiązki kapłańskie znów przyjąłem na siebie.

Właściwie czemu nie? Podobno w Nowym Jorku jest ksiądz, który otrzymuje wynagrodzenie za to, że odwiedza nocne kluby i prowadzi rozmowy z muzykami. Taka jest jego praca. Czemu więc ja nie mogę stać się „knajpowym kapelanem”? – myślałem żartobliwie.

Jak sobie wtedy wyobrażałem przyszłość?

Nie myślałem wiele. Trochę pieniędzy miałem, choć z czasem i one się wyczerpią. Co będzie potem? Na razie mnie to nie obchodziło. Żyłem z dnia na dzień. Miałem dwa punkty oparcia: przyjaciół z „Kawiary” i Marię. Wszystko inne było niepewne i iluzoryczne. Moja rekonwalescencja duchowa, jeszcze bardzo problematyczna, wymagała wielkiego wysiłku umysłowego i fizycznego. Niczego nie mogłem planować. Musiałem uczyć się żyć chwilą i szukać chwil. Z początku było trudno. Z bieżącą chwilą bowiem wiązały się pytania rzucane w przeszłość i odpowiedzi.

Przyszłość mnie wtedy nie interesowała.

Przerwałem notatki, ponieważ wartownik wziął mnie na spotkanie z obrońcą. Widać z uwagi na moją byłą funkcję rozmowa odbywała się w gabinecie pastora więziennego. Kilka razy widziałem się z nim tutaj. Dawniej go nie znałem. Obaj byliśmy tak bardzo speszeni, że wymianę słów ograniczyliśmy do minimum. Zresztą pastor był dla mnie bardzo serdeczny. Próbował rozmawiać „jak z bratem”, ale może dlatego wyszło sztucznie.

Mój obrońca natychmiast zabrał się do roboty.

– Wątpię, czy uda nam się to jeszcze odroczyć. Pastor chyba rozumie. Sprawa jest, mówiąc między nami, ewidentna. Możemy jeszcze zaproponować badania psychiatryczne, o których rozmawialiśmy. Chcę przyjąć taką linię obrony, tym bardziej że wtedy w kościele i parafii zaistniało zachowanie anormalne. Jeśli zaakceptuje pan taką linię, będziemy mieli nowe argumenty, pan rozumie. Biorąc pod uwagę pana dawną funkcję sędzę, że dalszy proces nie będzie dla pana trudny. Może nawet przejść bezboleśnie...

Bezboleśnie! No tak! Nie, nie można narzekać. Chłop stara się, jak umie najlepiej.

– Nie chcę żadnych ulg ani przywilejów dla stanu duchownego.

– Oczywiście, że nie, to jest zrozumiałe... No tak. Pozycja szanowana mimo luterańskiego poczucia winy – o tym już dyskutowaliśmy. Taka linia obrony jest normalna w postępowaniu sądowym. Hm... A w tego rodzaju przypadkach – zupełnie oczywista, nie ma w tym żadnych...

– Już panu mówiłem, rozważyłem swój czyn.

– No tak, pewno, że tak. Mówiliśmy przecież, hm, no, jasne! Jednak bywają stany psychiczne, które powinni zbadać specjaliści. To, co pan uważa za logiczne i przemyślane... Chciałem powiedzieć, że zachowanie człowieka jest sprawą bardzo skomplikowaną. Z pewnością zauważył to pan pracując jako pastor. Jeśli jednak teraz...

Byłem zmęczony. Sądziłem, że jeśli przyznam się do winy, sprawa będzie zakończona i zostawią mnie w spokoju. Nigdy jednak nie jest tak, jak sobie człowiek zaplanuje.

– Trzymając się takiej linii obrony, będę chciał jeszcze coś wyjaśnić – próbował dalej adwokat. – Gdybym był na pana miejscu i tak by się stało... Dla samego siebie powinien pan poznać i zrozumieć motywy.

– Ja je znam.

– No właśnie. Ale, hm, w trakcie badań mogą się ujawnić nowe aspekty. Takie wyjaśnienia na pewno sprawy nie pogorszą. No więc jak?

– Zastanowię się. Potem odpowiem.

– Zgoda. Niech pan wszystko przemyśli. Nie chcę pana zmuszać. Ale już mówiłem: radzę przyjąć moją metodę postępowania.

Porozmawialiśmy jeszcze o jakichś sprawach natury proceduralnej i wróciłem do celi.

Napisałem więc parę stron o moim „przypadku”. Taką myśl poddał mi dziennikarz, który mnie odwiedził. Wątpię, czy dam mu ten materiał. Składają się na tę wątpliwość dwie przyczyny: po pierwsze, piszę wyłącznie dla siebie, żeby lepiej siebie zrozumieć. A po drugie – nie jestem zadowolony z tego, co napisałem.

Przerzuciłem kartki i stwierdzam, że relacja jest mętna i powierzchowna w porównaniu z tym, co zaszło naprawdę. Zaczynając pisać, pełen byłem entuzjazmu, chciałem pokazać prawdę. Czułem potrzebę wypowiedzenia się, pisania. Ale wyrazy, którymi przekazywałem myśli, były słabe i bezbarwne.

Znam to uczucie. Doświadczalem go w pracy kapłańskiej, kiedy usiłowałem wiernym głosić słowo Boga. Nieraz czułem niezdarność tych słów, które jak za wielkie buciory zsuwały się z nóg, to znów uwierały. I myślom nie było w nich dobrze. Kiedy indziej rzucałem z wysokiej ambony słowa jak bańki mydlane. Niektóre wielkie, mieniące się tęczo szczybowały w górę, ale choć śliczne, wewnątrz miały pustkę. Pękały rychło i zostawała po nich mokra jak lza kropelka.

Może właśnie dlatego, że świat jest tak zakłamanym, zabraliśmy się do analizy słów. Nazywamy to ładnie problematyką semantyczną. A może powoli odkrywamy nowy, prawdziwy świat, w którym nauczymy się rozumieć innych, w którym wszystkie pojęcia i hasła będą jasne i jednoznaczne? Przecież nieraz zwykłe „dzień dobry” jest wyrażeniem w złym stylu.

Faktem jest, że słowa i zwroty stosowane w Kościele należą do najbardziej archaicznych. Przez całe wieki powtarzano te same zwroty, odnowa Kościoła nie wniosła tu istotnych przemian. Zupełnie jak w muzeum historycznym: tutaj są „grzechy”, tam „prawość”, tu „niebo”, tam „piekło”. Sala za salą pełne archaicznych rekwizytów. Ludzie przychodzą, oglądają, kiwają głowami, zatrzymują się przy jakichś drobiazgach i przyznają, że wszystko jest interesujące, ale odległe, przypisane historii jak stare medale czy porcelanowe arcydzieła babuni.

Jak dobrać słowa, by stały się drogą do prawdy? A może słowa, wszystkie ich litery są już wyeksploatowane do tego stopnia, że prawdę można wypowiedzieć tylko czynem?

Może dlatego trudno jest pisać?

Siedzę oskarżony o zbrodnię, do której się przyznałem. Może się więc wydać dziwne moje twierdzenie, że językiem współczesnego człowieka winna być miłość ubrana w szaty małych i wielkich czynów. Sądzę, że powinienem jeszcze wyjaśnić, co rozumiem przez słowo „miłość”. I znów wydaje mi się, że nie uda się znaleźć właściwego wyjaśnienia. Gdybym nawet dobrał setki, tysiące słów, nie oddadzą one treści, którą to słowo zawiera.

Być może taki sam problem semantyczny miał Pan Bóg. I może dlatego musiał posłać swojego Syna, by przemówił czynem. On sam był nim. Jego nauki pełne były zachęty do czynu i kiedy przebywał wśród ludzi, też czynił...

„Idź i czyń to samo... Czemu wołacie do mnie: Panie, Panie, a nie czynicie, jak mówię? ...Kto spełnia wolę Ojca mego... Tak również mój Ojciec Niebieski dla was czyni...”

Przychodzą mi na myśl fragmenty Biblii, podkreślające znaczenie czynu. My natomiast wybraliśmy drogę znacznie wygodniejszą: gadania, wielorakości słów. Zadziwiająco prawdziwe jest chińskie powiedzenie, że wiara chrześcijańska jest wiarą gadatliwą.

Nadszedł zmrok.

Boję się ciemności. Samotność uwydatnia się w niej najbardziej. Noce są bolesne. Boże, skąd ja się tu wziąłem?! Mario, jak to się stało, że zabrałem ci życie?! W mroku nocy przeszłość szydzi ze mnie, krąży wokół mnie i chce mnie zgładzić. Piekło jest tutaj, a jego treść to nieodwracalność dokonanych czynów i męka samotności, która pali i dławi. I miotam się na twardym łóżku, nękanie koszmarami.

Wiele nauczyłem się w ciągu tych tygodni i miesięcy. Kontrolowałem siebie. Łaska i spokój zależą od Boga. Ale ja otrzymuję w darze tylko ból samotności i ciemność. Nieraz chcę wyć nieludzkim głosem, bo potworna jest choroba mojej duszy.

Boże mój, cóżem uczynił, czy nikczemność moja była tak karygodna? Boże, okaż miłosierdzie, nim wyczerpią się moje siły! Dopomóż mi, Boże! Daj bodaj chwilę wytchnienia!

Wciąż widzę, jak krzyżem leżę na ziemi, wciąż tak samo, choć przez moment ludziłem się, że walka jest już skończona. Ale we mnie coś rwie się do buntu i targów. Czy wszystko muszę utracić, wszystko bez reszty? Czy niczego dla siebie nie mogę zatrzymać, bodaj okruszyny? Byłaby jak maleńki upominek bez szacownej wartości, ale mój własny. I na taki okrucuch szczęścia mi nie pozwolono.

Wiem, że egoizm wypełnia moje ciało, moje serce. Kiedy w największej trwodze padam na kolana i płacząc proszę o zmiłowanie, zajęty jestem i myślę tylko o sobie, o swoim udziale: „...skoro moje nieszczęście jest tak wielkie, to z pewnością...”

Na Boga! Cóż poradzę, że jestem człowiekiem ze wszystkimi jego ułomnościami? Czemu tylko ja muszę tak cierpieć? Dlaczego mrok pada właśnie na mnie? Dlaczego kamienne ściany wznoszą się wokół mnie i nie mogę ich przebić? Dlaczego, Boże, dlaczego?

Gdybym miał choć chwilę wytchnienia, Boże, chociaż na mgnienie. Wtedy łatwiej zniósłbym tę mękę. Błagam Cię, Panie, o tę chwilę. Żeby w mroku błysnął promień światła, bodaj maleńki. Ten straszny mrok, ta niepewność – jestem na skraju przepaści...

I znów wróciły zjawy z lat dziecinnych. Wyspa umarłych. We śnie zbliżam się do niej. Ponury las na rycinach, a ziemia czarna i oślizgła. Nie ma na niej ani odrobiny zieleni. Mrok. I jakiś mur, za którym czai się świat potworów, płazów i gadów. Czy to jest śmierć? Ten koszmar wciąż na nowo do mnie powraca, choć sądziłem, że odszedł na wieki. Wraca do mnie i budzę się z potwornym krzykiem.

W ciemności widzę zakrwawioną dłoń. Krzepnąca krew pali rękę, choć drapię ją i myję. Maria. Uśmiecha się. A na poduszkach krew i krew na podłodze. Widzę rękę, znów jest we krwi, nigdy już nie będzie czysta. Patrę w mrok. Powstają w nim moje słowa i czyny i zaczynają szyderczy tan przed moimi oczami. Naśmiewają się i drwią ze mnie. Z mroku wychodzi szatan i wznosząc ramiona mówi: „Jeśli mi się pokłonicz, uwolnię cię i odzyskasz radość”. Chcę go wziąć za rękę, ale nie mogę się ruszyć. Chcę wybawienia bodaj przez diabła, ale coś mnie wstrzymuje. Nie mogę się oderwać. To Bóg mnie trzyma! Nie wyrwę się z Jego rąk! Chcę od Niego umknąć, błagam, żeby mnie odtrącił od siebie. Modłę się i przeklinam, ale On mnie nie puszcza. Bez Boga byłoby mi lżej, lepiej, gdybym o Nim nie wiedział. Ale już za późno. Czuję na policzkach gorące łzy, szatan znika w ciemnościach.

Budzę się z twarzą mokrą od łez, z wargami spierzchłymi od błagań. Otacza mnie ta sama rozpacz i ciemność. Czy wszystko na próżno, czy nie ma już dla mnie wyjścia?

Takie są noce pełne samotności i mroku. Kiedy rano widzę strażnika więziennego, chcę mu to powiedzieć. Przecież on też jest człowiekiem, bliźnim... Ale wiem, że on mnie nie zrozumie. Nikt nie rozumie. Jest granica, poza którą człowiek jest zupełnie samotny.

Boże mój, zmiłuj się nade mną! Zlituj się, Boże, i przybądź do mnie, do tej straszliwej samotni! Stąd wołam do Ciebie, Panie, wysłuchaj wołania mojego!

Zmiłuj się! Znużony jestem śmiertelnie, brak mi już sił. Okaż swoje miłosierdzie i zstąp do przybytku mej grozy! Wszystko Ci oddam, niczego nie zatrzymam dla siebie, oddam wszystko...

Bylebyś przyszedł.

Do mej straszliwej samotni.

Boże, mój Boże...

9

Domy niechybnie skazane na zagładę. Jednopiętrowy zgrzybiały drewniak, wjazd obok, jeszcze dwa identyczne budynki, a między nimi podwórko zamknięte ślełą ścianą.

Teren z grubsza uprzątnięty, tylko z boku mnóstwo rupieci, rozwalone beczki, popękane sprężyny od łózek, skrzynie, dziurawe garnki. Pod ścianą sąsiedniego domu sterta narąbanego drewna, które już na wpół zbutwiało.

Szaro i smutno. Wiosenne promienie słońca bezlitośnie obnażają ubóstwo. Z otwartego okna słycać muzykę. Ale nie pasuje ona do tego otoczenia.

Muszę uważać na kałuże. Rozglądam się, szukam odpowiedniego wejścia. Jest. Po prawej stronie. Przy kamiennej obmurówce oparty o ścianę brudny kij od miotły. Może zimą zdrapywano nim zmarznięty śnieg. W każdym razie szczotki tu nie używano.

Zabite tekturą wnęki drzwi. Framugi aż się proszą o farbę. Widać, że mieszkają tu ludzie przygnani wielką biedą. Właściciel tylko czeka, by lada dzień rozwalić rudere i postawić na to miejsce nowoczesną czynszówkę. Remont ani porządek już się nie opłaca. Przeciwnie: brud i bałagan ułatwi eksmisję, komisja stwierdzi bowiem, że budynki nie nadają się do zamieszkiwania.

Otworzyłem drzwi i wszedłem. Ciemne wąskie schody pną się wysoko, smród smażonego oleju i obory, brudne zniszczone schody, dziury po sękach jak blizny po wrzodach. Stopnie skrzypią pod butami, jakby się skarżyły. Kroku nie można postawić bezszelestnie.

Na ostatnim piętrze cztery wejścia. Ich rozmieszczenie wskazuje, że każde mieszkanie to jedna izba z węglowym piecem. Nieosiągalnym luksusem byłby zlew, wodociąg czy toaleta. Tego rodzaju wygody mieściły się na podwórzu, przy ogrodzeniu.

A więc stało się to w jednym z tych pomieszczeń.

Spoglądałem na drzwi pokoju, próbowałem odgadnąć, w którym z nich... Na jednych drzwiach była wizytówka.

Może stąd zacząć?

Zapukałem. Dzwonka nie widać. Zapukałem raz jeszcze i wtedy ze skrzypieniem otwarły się drzwi obok.

– Nie ma jej w domu, wyszła do miasta – powiedziała starsza kobieta.

Ukloniłem się i spytałem, czy mogę zamienić parę słów.

– O czym? Kupować nic nie będę – mówiła rozczochrana kobiecina. Otworzyła szeroko drzwi i wycierała ręce o fartuch nie pierwszej czystości.

– Nie jestem handlarzem. Chcę porozmawiać. Jestem dziennikarzem.

– Boże, zmiłuj się! Pewnie chcą nas przegnać?! – krzyknęła przerażona. Widać sądziła, że przynoszę złe nowiny o losach rudery.

– Nie, ja nie o tym – pospieszyłem wyjaśnić. – Chodzi mi o zbrodnię, która się wydarzyła w jednym z tych mieszkań.

– Aha, kiedy zabili tę dziewczynę! – powiedziała kobieta jakby z ulgą w głosie. – A czego pan jeszcze chce? To było dawno i chyba wszystko wyjaśnili. W tamtym mieszkaniu, o tam... Jeszcze się wzdygam, jak sobie przypomnę. Ale teraz nowi mieszkają. Nie ma ich, oboje pracują.

– Muszę jeszcze o tym napisać – tłumaczyłem. – Może ma pani wolną chwilę?

– No, czas to mam... A niech tam! – Widać było, że chce pogadać.

Temat przypadł jej do gustu. – Wiem sporo, ale co z tego... Kiedy przesłuchiwali, wszystko powiedziałam. Zresztą nie wiem nic nadzwyczajnego. Ale historia jest okropna. Kto by przypuszczał... Tak to jest, jak się ma chłopów...

– Widocznie pani wie o czymś – próbowałam od nowa. – Trzeba sobie tylko przypomnieć.

– Niech pan wejdzie.

Wszedłem za nią do wnętrza. Ciemny parumetrowy przedpokój, a za nim izba.

– Przepraszam za bałagan. Człowiek stary i nie ma już sił. Proszę siadać. Zgarnę ze stołu!

Powietrze było stęchłe, okna oklejone papierem, a jedyny lufcik szczelnie zamknięty. Stół przykryty ceratą, szmaciane chodniki na zniszczonej podłodze, podłe reprodukcje na ścianach, brudne, porwane tapety, żelazne łóżko i piec z okopconymi garami. Obraz nędzy uzupełniały dwa wiadra, z których jedno przykryte było gazetą.

Smutny, przygnębiający widok.

– Mieszkanie tanie – rzekła kobieta, jakby odgadując moje myśli. – Całe życie pracowałam przy budowie, a teraz mieszkam w takiej norze. Już nie pracuję, więc skąd mam wziąć na lepsze? A co będzie, jak rozwalą? Przecież stale grożą... Na ten czynsz jeszcze wystarczy, choć i tak ciężko. Ale skąd wezmę więcej?

Nie miałem odpowiedzi. Czuję się nieswojo. Mruknąłem coś o domu starców, ale kobieta jakby nie słyszała.

– Gdyby pozwolili, chcę tu zostać. Tu czuję się jak u siebie, nikt mi nie rozkazuje. Żeby tylko dali zgodę... Ale do tego doszło, że dla starych nigdzie miejsca nie ma, tylko młodzi się liczą, o nich się troszczą, dla nich budują. Nam zostają takie rudery. Ale i to człowiek wytrzyma, żeby tylko zostać... Choć zimą woda w wiaderku zamarza, a ściany ledwo, ledwo... Wcale nie naprawiają...

– O ludzi powinno się dbać – powiedziałem mimo woli, myśląc, jak skierować rozmowę na potrzebny temat. – Czy była pani w domu, kiedy tę kobietę zamordowano?

– Byłam tutaj. Przecież ja mało wychodzę, tyle co do sklepu. – Usiadła naprzeciwko mnie. – Policja pytała. Powiedziałam, że przedtem chodził inkasent. Był i u mnie, z latarką w ręku. Stale mu się spieszy... Potem słyszałam awanturę w pokoju panny Pitkanem.

– Czy ktoś przedtem wchodził na schody?

– Policja też o to pytała. Chyba tak, ale nie mogę przysiąc. Na schodach zawsze harmider. Często dzieciaki drą się i latają jak opętane...

– Ale dobrze pani nie pamięta?

– Nie. Wiem, że tam był ruch. Jeszcze i potem.

– Poznała pani tych, co się kłócili?

– Słuch mam już marny. Ale głos Marii, tej panny Pitkanen, słyszałam wyraźnie. A drugi głos był niski i słaby, tak że nie wiem.

– O co była awantura?

– Policja też chciała wiedzieć, ale tego nie słyszałam. Przecież to parę drzwi. Krzyk był okropny, potem drzwi skrzypnęły i ktoś poszedł. Potem była cisza. Ale to jeszcze nie wtedy...

– Co nie wtedy?

– No, ten Lucyper... Potem ktoś szedł. Otworzyłam drzwi i wyjrzałam. To był pastor, jak go przezywają. Schodził na dół i wyglądał okropnie, jakoś dziwnie... Panie Boże, żebyś wiedziała, taka zbrodnia!... Można się było spodziewać. Wszystko może się stać, jak chłopcy przychodzą... A wydawał się miły, spokojny... Potworne. Nie mogę zapomnieć, choć tyle czasu minęło!

Zastanawiałem się nad tym, co powiedziała.

– To pani słyszała, że dwa razy ktoś wychodził z mieszkania? Najpierw po kłótni, a potem zobaczyła pani pastora?

Kobieta skinęła głową.

– Tak, właśnie tak było. I to mówiłam policji. Ale nikogo innego nie było, tylko pastor.

– Skąd pani wie?

– To był okropny dzień po tej zbrodni. Biegali tam i z powrotem. Ale dopiero później... W kółko te same sprawy maglowali, i Janne Liimatan mówił...

– Kto to taki?

– Taki jeden... Ma skład z opałem. Ostatni dom przy ulicy. Nie widział pan szyldu?

– Nie zauważyłem.

– Bo to właściwie w suterenie. Więc Janne mówił, że to było tak. Cały czas układał drewna na podwórku. Jak była awantura, też. I potem, jak... nie widział nikogo, tylko pastora. Nikt by nie przeszedł, żeby go nie zobaczył. Policja mówiła to samo. Więc widać pastor najpierw wyszedł, potem cicho wrócił, zamordował ją i wtedy zobaczyłam go, jak wychodził.

– A można wierzyć temu, co mówi Janne?

– Mówili, że niby czemu by kłamał? On teraz spokojny, choć cała buda śmierdzi denaturem. Ale nikomu nie szkodzi. Zresztą pisali, że pastor się przyznał. Więc czemu mieliby nie wierzyć?

Rzeczywiście. Przecież Kettunen przyznał się do winy. Dowodów było aż nadto. Odciski palców, ślady krwi. Chyba za dużo czytam kryminałów, żeby się jeszcze czegoś dopatrywać. Policja prowadziła szczegółowe śledztwo i oskarżony przyznał się do winy.

Zapytałem jednak:

– Wspominała pani, że do Marii przychodzili też inni mężczyźni?

– O zmarłych źle się nie mówi. To była jej sprawa, Ale skoro inni wiedzą, to chyba mogę powiedzieć, że faktycznie, przychodzili. To znaczy przed pastorem. Bo znowu ona nie była taka... jak mówią o innych... dziwka. Miała znajomych. Kiedyś przychodził jeden, potem przestał, no i drugi, a w końcu pastor. To byli raczej jej znajomi, przyjaciele. A jeden młody to nawet dłuższy czas tu był. Często go spotykałam. Nawet zaczął się kłaniać.

– Ten młody był przed pastorem?

– Skąd ja mam wiedzieć! Tak wyglądało. Może byli i inni. Przecież ich nie liczyłam. Nie wtykam nosa w cudze sprawy. Mam dosyć swoich...

A więc wyjaśniłem, co mogłem. Kobieta powiedziała jeszcze, że tamtego dnia pozostali lokatorzy byli w pracy, więc nie ma czego od nich oczekiwać. Warto by natomiast pogadać z tym Janne, jeśli go zastanę.

Podziękowałem i wyszedłem. Na schodach raz jeszcze stwierdziłem, że trudno byłoby przejść bezszelestnie. Stopnie skrzypiały i trzeszczały.

Na podwórku głęboko odetchnąłem. Jak ci ludzie mogą żyć prawie bez powietrza?!

W pobliżu poszukałem składu opałowego. Wejście prowadziło do suterenu. Drzwi otwarte, w środku słychać było krzątanie.

Zszedłem. Poczujęm zapach drewna i denaturatu. Stary mężczyzna w wyświechtanym i brudnym chałacie układał polana na jakimś rusztowaniu czy kozłach.

– Wejść, wejść, towaru nie brakuje. Na całe piekło wystarczy! – zaskrzeczał, zionąc oparami denaturatu. Spojrzał na mnie spod obwisłego ronda kapelusza i zaraz się wyprostował. – Pan tu pierwszy raz?

– Ja nie po drewno – wyjaśniłem. – Chcę porozmawiać o tym zabójstwie z oficyny.

Stary popatrzył na mnie podejrzliwie.

– Czego znowu, do cholery? Po co to wałkować, kiedy wszystko jasne? Pastor ma, czego chciał, i koniec, cha, cha, cha!

– Podobno widział pan, jak on wychodził?

– Widziałem, pewnie, że widziałem. Układałem drewno, choć wtedy bym nie przypuszczał, co kryje się pod tym płaszczem.

– I nikogo innego?

– Jakiego innego?

– No, czy nie widział pan nikogo, kto by wychodził z klatki?

– A kogo miałem widzieć?

Zdenerwowało mnie, że udaje głupiego.

– Nie wiem, kogo miał pan widzieć. Pytam, czy jeszcze ktoś tamtędy przechodził.

– Cholera, co to pana obchodzi?!

– Niech się pan nie denerwuje. – Wyciągnąłem forszę z portfela. – Przypuśćmy, że kupiłem od pana drewna za dychę. Nie potrzebuję go, tylko pogadamy.

Zrozumiał. Nie był głupi. W lot chwycił, o co rzecz idzie.

– Taka sprawa!... – i chichot. – Czemu nie, żeby takich więcej!

– No więc czy widział pan jeszcze kogoś?

– Nie widziałem i to jest najprawdziwsza prawda. Tak zeznałem na policji.

– Pastora widział pan raz czy dwa razy?

– Wtedy?

– Tak, w dzień zabójstwa.

– Widziałem, jak wszedł, a za chwilę wyszedł. Do diabła. Głowa spuszczone, nawet się nie rozglądał. O, cholera! Gdybym wiedział!

– Nikogo innego nie było?

– Do diabła, już mówiłem!

– Czy zna pan jeszcze kogoś, kto odwiedzał Marię?

– Kto panu nagadał? No, nie zaprzeczam. Goście bywali. Ale to nie żadna dziwka, znaczy ta nieboszczka. Czasem było jej smutno. A komu nie jest?! – Stary chrząknął wyrozumiale.

– Których gości pan pamięta?

– Specjalnie nikogo...

– Dłuższy czas przychodził tu jeden młody.

– Możliwe... Nie zapisuję ich przecież. Mam swoją robotę. I po co to wszystko? Pastorek przyznał się do winy i dobrze, że go usadzili. Najczęściej panowie dają nura jak zające z pola. A teraz się nie udało, wyszło szydło z worka. Tylko pieniądze ściągać potrafią, ale z ubogich. A pastor... Zapamiętaj pan moje słowa, jemu włos z głowy nie spadnie! Jak ktoś z naszych dostatnie się za kratki, to jak amen w pacierzu! A ci jeden drugiego bronią. Na tej ziemi rządzą panowie i to samo, choroba, jest z Kościołem. Daje człowiek forszę, żeby mury wznosili, w dzwony bili i nikogo nie obchodzi, jak człowiek haruje. Tylko czyhają, żeby ten dom zburzyć. A co wtedy? Niech pan powie, co z nami zrobią? Nie mam, cholera, grosza w banku ani w pończochach! No, powiedz pan...

– Przed pastorem bywał tu często pewien młodzieniec. Widział go pan?

– Już powiedziałem. Czego pan tu niucha? Co to pana obchodzi? Nas chcecie zgnębić, żeby się pastor wymigał?! To wam pasuje! Wszyscy tacy sami! Naród ciemięzą, a jak jeden paniczyk znajdzie się w opałach, to diabła na pomoc wołają. W mojej sprawie pan by tak nie biegał, co? Kromki chleba by nikt nie podał. Ale ze mnie nic pan nie wydebi. Zapamiętaj pan sobie. Choćby wór dziesięciomarkowych banknotów położył pan na tych kozłach. Szkoda, że tylko jednego pastorka przymknęli. Powinni się wziąć za innych. G... mnie to obchodzi!

Ze złością cisnął polanami.

Niczego więcej się od niego nie dowiedziałem. Dziesięć marek zostawiłem na kozłach i wyszedłem.

Nie spodziewałem się wiele po tej wizycie, a przecież tło wydarzeń uzyskałem wyraźne.

Sodoma i Gomora.

Może zajść jeszcze do sklepu? Dość już miałem pokątnego szperania, ale lepiej wszystko załatwić za jednym zamachem.

Parę uliczek dalej był postój taksówek. Podałem następny adres. A nuż na coś natrafię?!

W sklepie było paru klientów. Obsługiwały ich dwie sprzedawczynie, jedna zupełnie młoda, druga koło czterdziestki. Młodszą widać przyjęto na miejsce zamordowanej. Chciałem pomówić ze starszą. Wkrótce odprawiła klientów.

Przywitałem się, przedstawiłem. Zmieszła się.

– Ale ja nic nie wiem!

– Nie chcę przeszkadzać. Będziemy mówić, kiedy nikogo nie będzie.

Z wahaniem skinęła głową.

Rozmowę wielokrotnie przerywaliśmy. Młoda ekspedientka nadstawiała ucha.

– Maria Pitkanen pracowała tutaj przez dwa lata. Nie można o niej złego słowa powiedzieć. Była pracowita i miła dla klientów. Właściwie nikomu się nie zwierzała, co robi, gdzie i z kim chodzi w wolnym czasie. Ale poza tym była rozmowna. Niech pan lepiej tego nie pisze. Nie wiem jak to powiedzieć... Tego pastora pamiętam, chociaż on tu chodził po cywilnemu... Był taki skromny, miły, więc kto by pomyślał?... Z początku ust nie otwierał i nawet zaczęliśmy go obmawiać, domyślaliśmy się między sobą różnych historyjek, o jego rodzinie i tak dalej. Zawsze był bardzo grzeczny, że choć do rany przyłóż... Różni ludzie tu przychodzą. Niektórzy utrzymują się tylko z emerytury. Kiedyś weszła jedna starszka. Przekręcała słowa. Myślę, że to Rosjanka na emigracji, tak. Chciała kupić chleba i zaczęła supłać pieniądze. Miała torebkę na sznurku, naprawdę biedna kobiecina... Jak wszystko wysypała, okazało się, że brak jej dziesięciu penów (groszy). Powiedziałam, żeby później przyniosła. Pastor był przy tym. Kobieta miała otwartą torebkę, wrzucił tam dziesięć marek. Zacerwienił się przy tym i wyszedł. Nawet nie spojrzął na nikogo. Jakże ta kobiecina była szczęśliwa! Może pan sobie wyobrazić. A Maria, kiedy chodziła z pastorem, była jakby urzeczona.

– Czy jeszcze ktoś chodził z Marią?

– Był jeden młody... taki niedbały. Przychodził parę razy. Maria go nie lubiła. Podobno dawniej się znali, nie wiem. Ale była zła, że znowu się zjawił. Kilka razy mu wymyślała, ale szeptem. Nie wiem, o co. Zresztą nie chciałam podsłuchiwać. Potem nie przychodził. O innych nie wiem. Tego pamiętam, bo Maria po jego wizycie była bardzo zdenerwowana. Pomyśleć, że tak się musiało wydarzyć. Ale naprawdę nie mogę uwierzyć, żeby on to zrobił. I do tego pastor, duchowny! Przecież on nie był taki... Och, nic nie rozumiem. Cały świat jest taki podły. Trudno sobie nawet wyobrazić, że ona...

Znowu identyczna historia. Kettunen jako bohater pozytywny.

Zaczynało mnie to denerwować. Miał jakby dwa oblicza i żadnego nie mogłem odkryć.

No tak. Ale są przecież typy obłudników. Doktor Jekyll i Mister Hyde! Może pastor właśnie do nich należy. Niespodziewanie zmienia się w demona, zrywa z siebie duchowne szaty i staje się szatanem. Bo właśnie tak to wygląda, jeśli uwzględnimy wszystko, co o tym człowieku opowiadają.

Noc miałem niespokojną. Cóż w tym dziwnego? Nieraz cierpiałem na bezsenność, a teraz ta historia zaczęła mi solidnie doskwierać.

Kilka razy wstawałem, by napić się wody. Kiedy nie można spać, wzmaga się pragnienie.

Jeszcze raz spróbuję sobie wszystko wyjaśnić:

Któs popełnił zbrodnię i musi ponieść karę. Dowody są niepodważalne. Ale wygląda na to, że przestępca ma podwójne oblicze. Jedno ze wszech miar pozytywne, wzbudzające szacunek, a drugie twarde, nielitościwe, sposobne do najgorszych czynów.

Na razie wszystko jasne. Do cech charakterystycznych sprawcy należy dodać fakt, iż jest to duchowny. Co z tego? Może opinia społeczna jest na tym punkcie wyczulona i dlatego duchowni muszą specjalnie trzymać się w ryzach. Ale to nie wyklucza, że i oni mogą ulegać słabościom jak inni ludzie.

Więc o co chodzi? Co mnie męczy?

Rzucałem się po łóżku i starałem się o tym nie myśleć. Na nic. Czuję, że wpadam w to samo piwo, którego z chciwości ducha sobie nawarzyłem.

Wbrew faktom, które znałem, na czoło wysuwało się coś, co wprowadzało w stan napięcia moje nerwy. Nadchodziło coś irracjonalnego, jeszcze nie w pełni uświadomionego. Bałem się.

Tak. Wypowiedziałem to słowo – bałem się.

Bo znów jakbym doszedł do jakiejś granicy, przerażającej granicy ostateczności. Czulem, że idę tam wbrew woli, że choć nie chcę, muszę stawiać pytania i czekać odpowiedzi, których się boję. Właściwie Kettunen i jego przestępstwo niewiele mają z tym wspólnego. Pastor stał się elementem ubocznym, może ogniwem pośrednim. Bałem się Czegoś.

To Coś przybierało niemal ludzki kształt, burzyło spokój, który uważałem za pewny i trwałe, przedzierało się do pierwszej linii. Coś nieoczekiwanego, Coś, czego nie chciałem przyjąć za swoje. Jak zadra, jak pierwszy ból zęba, jak chandra. Próbowałem przybrać w łóżku lepszą pozycję, odsunąłem kołdrę, głęboko oddychałem, rozluźniałem mięśnie.

Ale to nie pomagało.

Do diabła! Czy coś się dzieje z moją igłową? Może wariuję?! Co mi jest? Ten pastor! A niech go diabli! Cóż on mnie obchodzi?!

Co to może być?

Słyszałem oskarżenie. Nie, nie głos. Jakieś zupełnie namacalne wrażenie, jakby obecność ludzkiej istoty. Gorąco rozlało mi się po karku i plecach, zatkało oddech. Wstałem i otworzyłem okno. Głęboko wciągnąłem świeże nocne powietrze.

Poczułem się dziwnie. Zupełnie jakbym dotąd siebie nie znał, jakby było we mnie coś obcego, co teraz wysuwało się na plan pierwszy, chciało mnie zbić z tropu.

Co to jest? Chyba nie wyrzuty sumienia. Śmieszne. Niby dlaczego? A jednak... jakby oskarżenie, że coś zrobiłem albo zapomniałem o czymś.

Myślami wracam do przeszłości. Przypominam sobie najweselsze i najbardziej frywolne wydarzenia. Czepiam się jak deski ratunku. Szukam siebie takim, jakim usiłuję być. Takie samooszukiwanie pomaga na chwilę. Dosłownie na chwilę. Ironię bowiem odczuwam znów jako ironię, grubiaństwo jest grubiaństwem. To, co winno mnie bawić, zostawia tylko niesmak.

Czuję, jakby po jakiejś skostniałej, sparaliżowanej części mojego ciała zaczęła normalnie krążyć krew, układ nerwowy znów funkcjonował. Aż bolało, przeszkadzało... Coś, o czym zapomniałem, co odrzuciłem od siebie, usunąłem na bok. Część mojej istoty, kawał duszy i ciała.

Przychodziłem tutaj już przedtem, nad tę granicę, lecz całą siłą woli wymykałem się stąd do ludzkiego gwaru, do knajpy, kumpli, czasem szukałem kobiet. Powoli kontury granicy zacierały się. W koegzystencji z moim własnym ja doszedłem niemal do perfekcji. W razie potrzeby czerpałem pełną garścią z kłamstwa i cynizmu, praktyki i umiejętności przetrwania. Zachłystywałem się życiem, które było łądząco do ludzkiego podobne. Czasami byłem prawie szczęśliwy. Przecież i tak ludzie żyją, również tak.

Ale teraz w związku z historią Kettunena natknąłem się na coś zupełnie dla mnie nowego, deprymującego – problemy, cel, idee, naprawdę nie wiem, co. I czuję się, jakbym był w nowym otoczeniu, środowisku, krajobrazie... I nowe bodźce idą mi naprzeciw, klinem wdzierają się w serce.

Daleko, jak spoza mgły, wyłania się dobra, cierpliwa twarz i oczy spod cierniowej korony patrzą prosto na mnie. Pytająco, wyczekująco...

Mokre czoło przyciskam do okiennej framugi. Jest chłodno. Z otwartego okna dochodzą odgłosy sennego miasta. Spostrzegam, że płaczę, prawdziwymi łzami.

Jak dobrze, że nikt nie widzi mnie w takim stanie!

A może widzi?

10

Stoję przy biurku w kancelarii kościoła.

– Pastor zaraz przyjdzie, rozmawia przez telefon.

– Dziękuję. Mam czas.

W wydawnictwie dali mi nazwisko i adres tego pastora. Może od niego zasięgnie się dodatkowych informacji. Wizytę uzgodniłem.

Oto i on.

Szczupły wysoki mężczyzna, łysy. Twarz porwana bruzdami, co może być oznaką skłonności myślicielskich albo chronicznej choroby żołądka.

– Jeśli pan pozwoli, redaktorze, przejdziemy tutaj... Albo do kancelarii, bo tam jest spokój. Panno Helle, gdyby ktoś pytał, będę po jedenastej. A więc idziemy. Poprowadzę pana.

Atmosfera kancelarii przytulna, a równocześnie oficjalna. Ciemne biurko i meble obite czarną skórą. Oszklona szafka na szaty liturgiczne. Miękki dywan zaściela całą podłogę.

– Proszę bardzo, niech pan siada. Pali pan?

Podziękowałem. Nie miałem ochoty.

Czułem się dziwnie skrępowany. Zwykła rutyna dziennikarska zawiodła mnie dzisiaj. Powiedziałem jednak kilka słów na interesujący mnie temat. Przyznałem, że byłem w parafii Kettunena oraz że pewne informacje uzyskałem.

– Ciekawe, że nigdy do mnie nie zaszedł, choć przyjaźniliśmy się ze studenckich czasów. Oczywiście, że ta cała historia była dla mnie szokująca. Miałem nawet zamiar spotkać się z nim teraz, ale bałem się, że byłoby to zbyt nachalne. Przewiduję jednak takie spotkanie.

Słuchałem, nie mogąc sformułować żadnego pytania.

Pastor spojrział na mnie badawczo i kontynuował:

– Wiem, że chce pan się czegoś dowiedzieć o Kettunen, to znaczy o Usko... Może pana zaskoczy, jeśli powiem, że dla mnie nie było to niespodzianką. Jeśli się zastanović, fakty są logicznie powiązane. Poza morderstwem, które w tym wypadku jest największym dysonansem. Ale sądzę, że zabójstwo również znajdzie uzasadnienie, może tylko należy je inaczej widzieć, szukać... Zabójstwo tutaj nie pasuje, wszystko inne – tak. Usko jest barwną indywidualnością. Odnacza się, podobnie jak wielu naszych duchownych, nieprzeciętnym darem aktorskim. Właśnie u niego szczególnie to uderza. Usko należy do ludzi, którzy bardzo intensywnie żyją, nie oszczędzają siebie, którym nie wystarcza kompromis. Często łączy się to z egocentryzmem. Ale także z urokiem osobistym. Tacy ludzie muszą się wyróżniać. Gdziekolwiek by byli, wychodzą na pozycje czołowe. A jeśli to duchowny, dodatkowo sama funkcja wysuwa go do pierwszego szeregu.

Razem z Usko studiowali teologię. Jego zdaniem Usko był nierówny w nauce: czasem pracował z samozaparciem, entuzjazmem, ale bywały też okresy depresji.

– Usko początkowo miał przekonania liberalne. Sposób jego postępowania był nieco egzaltowany. Często w gronie kolegów wytykano mu pozerstwo. Z egzaminami bywało różnie. Nieraz zgłaszał się, choć połowy materiału nie zdążył przerobić. Czasem się udawało, czasem nie. Na wydziale panowała w tym czasie atmosfera przychylna, powiedziałbym nawet, tolerancyjna. Byli tacy, którzy potrafili to wykorzystać. Teraz wymagania są dużo większe. Nieraz żał jednak tamtych czasów. Może staję się romantykiem, ale trudno mi zgodzić się z poglądem traktującym teologię jako wyodrębnioną dziedzinę wiedzy samą w sobie, *an sich*. Oczywiście, są większe wymagania przy zdobywaniu tytułów naukowych. Czas studiów też się wydłużył, choć znów mówią o planach reform.

W czasie jego monologu zastanawiałem się: co ja właściwie wiem o studiach teologicznych? Absolutnie nic. A gotów byłem zażarcie krytykować Kościół. Ludzka rzecz – jakże często dokonujemy ocen na podstawie subiektywnych przekor nań.

– Impulsywność, a może też zarozumiałość oraz duża wrażliwość były powodem, że Usko wybrał ten właśnie, według mnie trudny kierunek. Tak, Usko był moim przyjacielem. Ale w rozmowach unikaliśmy spornych tematów. Dla niego Królestwo Boże stanowiło rodzaj *Divina Commedia*, spektakl wystawiany dla ludzi, gdzie kluczowe repliki pozostawia się Bogu. W tych, spektaklach Usko chciał objąć czołową rolę. Ku chwale Boga oczywiście. No, może nieco przesadzam, ale dzięki temu zrozumie pan lepiej istotę rzeczy.

Wiemy, że duchowni też nie bywają wolni od rozterek. Oczywiście świadomość, że będąc indywidualnością i mając zdolności kaznodziejskie można kierować innymi ludźmi, a nawet wpływać na ich decyzje – czasem oszołamia. Jest to jednak moment ryzykowny. Bo właściwie dyktatura ducha nie różni się od ziemskiej. Obie usurpują sobie prawo do władzy, która do nich nie należy. W tym zawiera się chyba największa pokusa chrześcijanina: zrównać się z Bogiem, realizując Jego rządy stać z Nim w jednym szeregu... Najtrudniej jest orientować się co do granic własnych kompetencji...

– Podobnie patrzą na Kościół ludzie z zewnątrz – powiedziałem. – Widzimy go jako organ władzy, który dba o swoją pozycję i autorytet. Ale sądzę, że wśród tych, którzy atakują Kościół, sporo jest takich, którzy negatywnie ustosunkowują się do samej idei chrześcijaństwa i walczą z nią.

– Twierdzą, że odrzucają przerost administracji w Kościele. Mówi się o „księżach na przychodne”. Tacy księża wykonywaliby inny płatny zawód, a dodatkowo prowadziliby sprawy parafii. Kto wie, czy to kiedyś nie nastąpi? Zresztą wiadomo, że Kościół jako instytucja ma podtrzymywać więź człowieka ze słowem i wolą Boga. Musi więc istnieć system usług, który w razie potrzeby można by uruchomić. Z kolei zaś „potrzeba” jest pojęciem bardzo indywidualnym i względnym, uzależnionym od szeregu czynników. Ale to nie wystarczy, by uzasadnić słuszność istnienia Kościoła. W życiu codziennym, w stosunkach międzyludzkich zawsze i wszędzie chrześcijanin powinien się wyróżniać swą postawą, i tu niedociągnięcia Kościoła są szczególnie widoczne. Mówi się o instytucjonalizmie. Tak. W Kościele istnieje tendencja traktowania religii jako celu samego w sobie. A przecież tak być nie może. Niestety, tak jest, nie da się zaprzeczyć.

Mój rozmówca był zmęczony. Po raz pierwszy pojąłem, jak trudna jest pozycja kapłana – przynajmniej takiego, który bierze przykład z działań Chrystusa i Jego słów...

– Może Kościół odnawia się, nie wiem – mówił pastor jakby do siebie. – Gdybyśmy wcielili w życie idee chrześcijańskie, gdyby naprawdę nastąpił zwrot i zaczęła się odnowa, znaczenie jej byłoby olbrzymie. Gdyby w jakiś czarodziejski sposób wszystkie Kościoły na świecie się odnowiły, stały się żywotne i dynamiczne, odegrałyby ogromną rolę w rozwoju społeczeństw i kontaktów międzyludzkich. Ale wątpię, nie wierzę w to... Trzeba przyznać, że niewielu chrześcijan żyje wedle wskazań Chrystusa. Są tacy, ale nie wszyscy!

Może szukamy ich nie tam, gdzie potrzeba? Mieliśmy jednak rozmawiać o Usko... Choć nie zawsze się z nim zgadzałem, muszę przyznać, że był szczery i głęboko zaangażowany. Wybrał linię ataku. Racje ludzi bywają różne – skąd mogę wiedzieć, czy jego postępowanie było błędne? Ja osobiście jestem ugodowy. Ale też żaden ze mnie kaznodzieja, więc może to samoobrona? Moim zdaniem każdy powinien podjąć decyzję zgodnie ze swoim sumieniem, na drodze osobistych dociekań. W sprawach wiary nie można zalecać ani żądać. Stosunek do Boga jest sprawą tak subtelną, że musi dojrzewać w spokoju. Skąd mam wiedzieć, czy nie ma ludzi, którzy wymagają odgórnych poleceń, wskazówek, porad? Kościół rzymskokatolicki posuwa się bardzo daleko, jeśli idzie o wskazówki i porady życiowe proponowane wyznawcom... Kto wie, może oni właśnie mają rację? Nie wiem.

Podszedł do okna, był teraz odwrócony plecami.

– Właśnie tu zawarta jest cała mądrość – w Słowie! Choćbym wciąż pytał i rozmyślał, nie wiem. Dobrze by było, gdyby człowiek skonstruowany był tak, żeby wszystko wydawało mu się proste i zrozumiałe. Usko miał w sobie coś z tego. Ja nie. Ja muszę wciąż pytać i zastanawiać się. Czasami nienawidzę siebie za to. Kiedy moi bracia duchowni bez chwili zastanowienia, bez wysiłku wyjaśniają ludziom wątpliwości, czuję prawie zawiść. Żebym to ja mógł wszystko rozumieć! Ale chrześcijanin pełen jest wewnętrznego napięcia, konfliktów! W umyśle ludzkim nie ma z góry zaprogramowanych, logicznie powiązanych myśli. Chrześcijaństwo to nie deklaracja, w której wyraźnie wyluszcza się punkt po punkcie. Cała wiara chrześcijańska to paradoks – w tym jej ciężar i urok! Gniewa mnie, kiedy się narzeka na dogmaty kościelne. Zupełnie jakby słowa ujęte były w statut. Jakby chrześcijaństwo było jedną z central związkowych. Czy ci, którzy narzekają, znają treść tych dogmatów, czy wiedzą, czym one są? Miejscem wypoczynku przed walką, miejscem poszukiwań, mobilizacją sił, aby można było iść naprzód! Drażni mnie szerzące się traktowanie Kościoła, jakby był kamiennym monolitem. Denerwują ci, którzy taką opinię podzielają. Przecież Kościół jest poniekąd absurdem, paradoksem. Nie akceptujemy tego paradoksu. Cały czas staramy się postępować tak, by Kościół i jego Słowo były zrozumiałe, logiczne i pełne humanizmu. Owszem, głosimy, że nie należy zbyt adaptować się do współczesnego świata, ale równocześnie organizujemy i budujemy Kościół, który w swej konstrukcji i treści jest bliski temu, do czego przywykliśmy. Tego właśnie Usko nigdy nie rozumiał. Według niego Kościół był ukonstytuowaną organizacją bojową, a on jej dowódcą, przynajmniej w ramach własnej parafii...

Milczałem. Teraz potrzebuję dziennikarskiej rutyny, żeby szybko wyłonić istotę tego, co chciał mi powiedzieć. Trudno jest być chrześcijaninem, a tym bardziej duchownym, trudno się przekonać, czy postępowanie Kościoła jest słuszne.

– A jednak – kontynuował cicho pastor – niezależnie od popełnianych przez nas błędów Bóg właśnie przez nas działa. Jestem przekonany, że działalność Usko w jego parafii też była pożyteczna. Właściwie Bóg nie ma wyboru: musi posługiwać się nami i nasze błędy przekształcić w zwycięstwo. Dzięki łasce ukrytego Boga można w tej funkcji wytrwać. Dzięki tej prawdzie, że nie wszystko od nas zależy, że w ludzkich sercach odbywa się niewidzialny proces, odpowiedź na tajemną pracę Boga.

Czy w tym zawiera się i mój niepokój? – myślałem. – Chyba, do licha, nie staję się wierzącym! Nowy problem. Muszę się strzec. Chrześcijaństwo jest jak choroba zakaźna. Co dobrego może mi przynieść? Nawet pastor, chociaż jest kapłanem, też ma swoje problemy... A jednak wdzięczny byłem za to spotkanie. Wprawdzie o Kettunen nie wiele się dowiedziałem, ale czułem się, jakbym ujrzał w nowym świetle Kościół i chrześcijaństwo.

Postanowiłem przyspieszyć sprawę. Trzeba jeszcze pogadać z pastorem w więzieniu, a potem – krzyżyk na drogę. Tęskniłem już za beztroskim życiem i jego maleńkimi, ale jednak uciechami.

Po co zaprzętać głowę czymś, czego rozgryźć nie sposób? Tylko niepokój zostaje, a stary wygodny świat wali się w gruzy.

Dotychczasowe informacje do artykułu wystarczają. A potem złapię jakiś lepszy temat.

Pogoda była słoneczna, kiedy szedłem do więziennego gmachu. Podjąwszy decyzję sfinalizowania całej sprawy, zaraz poczułem się lepiej. Zacząłem oglądać się za babkami. Jest to chyba najlepszy dowód, że wszystko wraca do normy. Pomyślałem nawet o kielichu...

To jednak zostawię na później. Na razie umówiłem się z kapłanem więziennym, że ułatwi mi spotkanie z pastorem w swojej kancelarii.

Przy bramie przedstawiłem się i po chwili pozwolono mi wejść. Przez dziedzińiec wszedłem do pomieszczeń administracji więzienia. Odrębny świat! Tutaj zamknięte drzwi mają rangę nie tylko symbolu. Jakie wrażenie odnosi więzień, którego tu wprowadzają?

Kiedyś w mieście wlepili mi mandat. Chciałem go już odsiedzieć w areszcie, wyjaśniono jednak, że ściągną mi z pensji, jeśli nie zapłacę. A więc za byle co do więzienia nie biorą. A można by spróbować, choćby dla zebrania materiału.

Ostrożny wartownik zaprowadził mnie teraz aż do kancelarii. Kapelan więzienny już czekał. Powitał mnie serdecznie i zatelefonował do kogoś.

– Proszę przyprowadzić pastora Kettunena. – A do mnie powiedział: – Zaraz przyjdzie. Zostawię panów samych, chyba tak będzie lepiej. Kettunen jest zresztą spokojny. Rozmawiałem z nim parę razy. Aha, otóż i on we własnej osobie. Porozmawiajcie teraz swobodnie, wartownik jest na korytarzu. Ja zrobię mały obchód...

Kettunen przywitał się ze mną i usiadł zakłopotany. Chciałem maksymalnie wykorzystać czas i natychmiast, nie wdając się w szczegóły, przystąpiłem do wyjaśnienia sytuacji.

Odniosłem wrażenie, że sprawiłem mu przykrość.

– Nie wiem, czy mam się zgodzić na taką interpretację – powiedział.

– Cóż, spróbuję zrelacjonować sprawę trochę łagodniej. Zabójstwo poruszyło opinię publiczną...

– Tak, popełniłem błąd. Sądziłem, że skoro się przyznam... Pojęcia nie miałem o tych sprawach. Myślałem, że jak człowiek się przyzna, wszystko pójdzie pięknie i gładko.

– Jest pan przecież duchownym.

– Tak. Oczywiście. Powinienem był o tym pamiętać.

Patrzyłem na mężczyznę, który siedział przede mną. Bez trudu można było sobie wyobrazić jego powodzenie jako kaznodziei. Teraz rysy mu się zaostrzyły, jakby przeszło przez nie wysokie napięcie, żłobiąc głębokie bruzdy. Oczy jednak były jaśniejsze niż przy ostatnim spotkaniu.

– Mimo wszystko – powiedziałem – trudno jest uwierzyć w pana winę.

Uśmiechnął się.

– Dziękuję. Ale to nie zmieni sytuacji. – Podniósł ręce i opuścił je na kolana. – Mam ręce skalane cudzą krwią i to muszę splącić...

– Nie mogę pojąć...

– A kto z nas pojmie siebie? Natura ludzka jest niepojęta.

– No właśnie. Miałem o coś zapytać... Czy napisał pan coś?

Przez moment zawahał się.

– Owszem. Trochę napisałem. Niewiele. Ale wątpię...

– Czy mógłbym to wykorzystać?

– Nie umiem pisać...

– To się opracuje. A honorarium pan otrzyma.

– Nie w tym rzecz. Wątpię, czy to się na coś przyda.

– Ależ to na pewno jest ciekawy materiał!

– W dodatku nie jestem przyzwyczajony do pióra. Zwykle piszę na maszynie.

– Poradzę sobie. Dziennikarze i aptekarze to specjaliści od gryzmołów.

– Wszystkiego nie mogłem opisać. Są sprawy tak trudne, że człowiek nie wyrazi tego słowami, bo zszedłby na manowce...

– Proszę mi to dać, choćby wypożyczyć. Bez pana zgody nie opublikuję.

– W każdym razie nie chcę pieniędzy...

– To inna sprawa. Choć uważam, że nie jest niczym zdrożnym przyjąć za pracę wynagrodzenie...

– Nie będę na tym zarabiał. Nie mogę.

– O tym pomówimy później. Zrobimy tak, jak panu będzie wygodniej. Ale byłbym wdzięczny...

– Notatki mam przy sobie. – Uśmiechnął się smutno. – Czułem, że ulegnę. Wy dziennikarze potraficie wygrywać z ludźmi...

Wyciągnął niewielki plik kartek. Przez moment czułem się rozczarowany: tak mało... Ale może treść bogata...

– Proszę przeczytać i wykorzystać tak, jak pan uważa za stosowne. Nie ma to dla mnie żadnego znaczenia.

Schowałem kartki do kieszeni.

– Jestem panu ogromnie wdzięczny. Nie nadużyję zaufania. Czy mógłbym coś dla pana zrobić? Proszę się nie krępować, chętnie pomogę.

– Dziękuję, nie potrzebuję niczego. Wszystko mam. Wdzięczny jestem za dobre serce. Chciałbym już to wszystko mieć poza sobą.

– Wkrótce będzie po wszystkim. Mam nadzieję, że wyrok okaże się łagodny.

– Nie o to mi chodzi. Chcę ponieść karę za to, co popełniłem. Nie potrzebuję żadnej łaski.

Jakby go złościł ten „łagodny wyrok”... Ciekawy człowiek. Tylko czy zupełnie normalny? Badania psychiatryczne chyba zrobią. Nikomu to nie zaszkodzi. Każdy z nas jest na tyle mądry, że w razie potrzeby może dostać wariackie papiery. Przecież zaburzenia umysłowe były u niego wyraźne.

Pożegnałem się. Przeszedł wartownik.

– Czy będę mógł jeszcze spotkać się z panem, gdybym miał jakieś wątpliwości? – zapytałem.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się ironicznie. – Dysponuję czasem.

Wyszedł, odprowadzony przez wartownika. Chwilę zaczekałem na kapelana, żeby mu podziękować.

Dopięto za bramą więzienną uprzytomniłem sobie, że popełniłem przestępstwo. Wyniosłem w kieszeni tekst napisany przez więźnia. Powinienem był prosić o zezwolenie. A gdyby odmówili? Dobrze jest, jak jest. Wątpliwe, czy te papiery zawierają cokolwiek wartościowego.

Już wtedy, zanim przejrzałem tekst, postanowiłem wpleść go w swój materiał. I tak później zrobiłem.

Poszedłem coś zjeść. Mówiąc ściślej, zamówiłem jeszcze koniak do kawy.

W domu położyłem się, zdjąłem marynarkę i zacząłem przeglądać notatki Kettunena.

Byłem wstrząśnięty.

Treść jego wypowiedzi wywarła na mnie ogromne wrażenie. Starał się być we wszystkim uczciwy, nie oszczędzał siebie. Wiele spraw zyskało teraz nowe oświetlenie. Czytałem historię walki i porażki jednego człowieka. Człowieka głębokiej wiary. Najsmutniejszy wydał się fakt, że błąd tkwił już gdzieś u podstaw.

„Niech spadnie na nas ich krew... Teraz mnie wysłuchano... Moja ręka jest we krwi...”

„Kiedy wszystko zapadnie się i nic już nie pozostanie... Zaprawdę, piekło może być na ziemi!”

Czytałem i znów czytałem, i coraz bardziej mnie to wzburzało.

Czemu ten człowiek tak siebie oskarża? Jak to możliwe, że on, taki wrażliwy i taki załamany, napadł i zamordował kobietę?! Co takiego uczyniła?

Nie można tego wyjaśnić zwykłymi zaburzeniami psychicznymi.

Musi być jeszcze jakiś inny powód.

Nie miałem na to odpowiedzi.

Pomyślałem natomiast o czym innym: dlaczego nie napisał o ostatnim etapie, o samej zbrodni? Zupełnie jakby celowo chciał coś pominąć, uchylić się od czegoś, zataić coś...

Czy ukrywa jakiś powód zabójstwa? A więc te notatki byłyby tylko myleniem tropu.

Ale wówczas wartość tekstu jest znikoma...

Wstałem z łóżka i rzuciłem kartki na stół. Jedna z nich upadła na podłogę. Sięgnąłem do szafki po butelkę. Na dnie było jeszcze parę kropli. Wypiłem i schyliłem się, by podnieść kartkę. Kiedy kładłem ją na stół, spojrzałem na nią i znów wziąłem do ręki. Zacząłem się jej przyglądać.

W charakterze pisma było coś znajomego, choć widziałem je pierwszy raz w życiu.

A jednak...

Jakaś odrębność rzuciła mi się w oczy, nie charakter pisma, ale...

Drgnąłem. Wziąłem inne kartki. To samo!

Czułem, jak pot występuje mi na czoło. Ależ to szaleństwo! Czy jestem przy zdrowych zmysłach?!

Z szuflady wyciągnąłem teczkę z wycinkami prasowymi o procesie pastora.

Nie było wątpliwości. Dobrze pamiętałem. Zresztą to samo mówił Vanttinen.

Czy w takiej sytuacji można...

Z góry znałem odpowiedź: sprawa jest jasna, nie ma innych dowodów.

Co robić? Muszę to wyjaśnić!

Zadzwoiłem do więzienia. Poprosiłem kapelana. Chwilę trwało, zanim go odszukano. Nie rozumiał, o co mi chodzi. W końcu zgodził się zebrać informacje dotyczące leworęczności pastora. Może instynktownie wyczuł, jaką mogą mieć wagę.

A jeśli mam rację? Dzwonić do Vanttinenena czy lepiej jeszcze nie? U nich sprawa jest odfajkowana i zamknięta. Na pewno powiedzą, że to żaden dowód. Ale we mnie ten fakt pogłębił wątpliwości, czy pastor jest istotnie winien przestępstwa.

I co to wnosi do sprawy? Potrzebne są wówczas nowe dowody, ponowne dochodzenie, a przecież ja nie jestem detektywem! Co z nim, z Kettunenem? Przecież się przyznał...

Telefon. Podniosłem słuchawkę. Kapelan potwierdzał moje przypuszczenia. „Ale co to daje w praktyce?” – pytał.

Otarłem pot z czoła.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Proszę nikomu o tym nie mówić. Będą z panem w kontakcie. Może wcale nie tu pies pogrzebany...

Mówiłem tak, choć wewnętrznie byłem przekonany, że mam rację. Musiałem mieć. Wiele od tego zależało.

Szybko przypomniałem sobie znajomych, którzy mogą pomóc w tej sprawie. Znam przecież adwokata od spraw kryminalnych. Zadzwoiłem. Był właśnie w swojej kancelarii.

Nie miałem zamiaru wprowadzać go w konkrety. Poprosiłem o radę co do kwestii rzekomo literackiej. Śmiał się.

– Że też wy literaci wymyślacie takie bajeczki zamiast brać fakty – gderał.

– Słuchaj – powiedziałem – wzięłem to wprost z życia.

– No, niech ci będzie – rzekł z pobłażaniem. – W takiej sytuacji wina oskarżonego jest pod znakiem zapytania. Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Ale teraz musisz szybko zebrać dodatkowe dowody, bo to, co mówiłeś, sądowi nie wystarczy. A co do mnie, mam u ciebie pięćdziesiąt marek honorarium i autorski egzemplarz z dedykacją.

Zaśmiałem się i odłożyłem słuchawkę.

Ależ będzie zamieszanie!

Wciąż zastanawiała mnie rzecz najbardziej istotna: dlaczego Kettunen wziął winę na siebie?

Postanowiłem spotkać się z nim. Niech pije piwo, którego nawarzył! Muszę to wyjaśnić.

Znów wziąłem jego kartki do rąk. Teraz byłem pewien. Miałem przed sobą coś, co obalało zeznania pastora. Ale sądowi to nie wystarczy. Tam zażądają więcej, dużo więcej! Sam sobie będzie musiał z tym poradzić. Niechaj pomyśli! Przycisnę go do muru.

Musi powiedzieć prawdę, całą prawdę.

Przecież tu chodzi o jego głowę.

Co mu do niej strzeliło?!

11

Sceneria identyczna jak przy pierwszej wizycie w więzieniu, tylko kapelan bardziej podekscytowany.

– Nie chce pan zdradzić tajemnicy? – pyta.

– Na razie nie. Muszę porozmawiać z Kettunenem. To może potrwać dłużej. Czy załatwi pan, żeby nam nikt nie przeszkadzał?

Skinął głową.

– Nie chcę się mieszać – dodał. – Ale może zadzwonić do obrońcy?

– Jeszcze nie. Może potem – powiedziałem. – To tylko moje domysły. Reszta należy do Kettunena.

Wprowadzono więźnia.

– Zostawiam was i zatroszczę się o to, żebyście spokojnie porozmawiali – rzekł kapelan wychodząc.

Byłem sam z Kettunenem.

Wydawał się zaskoczony. Poprosiłem, żeby usiadł, a sam stanąłem naprzeciwko. Mierzyłem go spojrzeniem i zastanawiałem się, co powiedzieć.

– Przyszedł pan w związku z notatkami? – zapytał.

– Chyba tak – odpowiedziałem. – Czemu nie napisał pan wszystkiego?

– Już mówiłem. Odzwyczaiałem się pisać piórem.

– Więc pozwoli pan, że będę notował sam. – Sięgnąłem po notes. Proszę mówić, ja będę pisał.

Wstał.

– Przykro mi, ale już dość. Proszę zawołać wartownika, żeby mnie odprowadził.

– Niech pan siada! – krzyknąłem. – To ja mam dosyć tej pana sprawy.

– Nie prosiłem pana.

– Przez pana wpakowałem się w kabałę, teraz żądam wyjaśnień!

– Nie mam czego wyjaśniać – powiedział pastor zmienionym głosem i otarł pot z czoła. Znowu usiadł. – Złożyłem zeznania, policja ma dowody.

Przyglądałem mu się z zaciekawieniem. Chętnie przejrzałbym go na wylot. Czemu tak dziwnie postępuje? Co to za samoudręczenie? Im dłużej wpatrywałem się w niego, tym bardziej byłem przekonany, że próbuje nas wszystkich wywieść w pole. Nie rozumiałem tylko motywów.

– Skoro się pan przyznał, co szkodzi opowiedzieć, jak to było?

– Pan nie ma prawa mnie przesłuchiwać. Nie muszę panu odpowiadać. Z jakiej racji?

– Z takiej, że pan jest duchownym. Muszę się dowiedzieć, co pan uczynił i dlaczego.

Irytacja uderzyła mi do głowy. Muszę go sprowokować do wyznań – myślałem. – Jeśli nie ze względu na niego, to na innych, na mnie też. Muszę zdobyć informacje, muszę wiedzieć!...

Zauważyłem, że drgnął na słowo „duchowny”, nerwowo poruszył się na krześle.

– Zostawcie mnie w spokoju, zostawcie... Zmęczony już jestem.

Znowu wstał, żeby odejść, ale grubiańsko pchnąłem go na krzesło.

– Powiem, czemu musi pan mówić – krzyknąłem – zaraz powiem!
Bo pan nie zabił i ja wiem o tym.

Zbladł.

– Pan nie może tego wiedzieć. Nikt nie wie!

– Wiem, a wkrótce dowiedzą się inni.

– Czemu pan mnie denerwuje?! Pan nie ma z tym nic wspólnego.

– Właśnie, że mam, i to dużo – powiedziałem. Aż głos mi ochrypl od wstrzymywanego gniewu. – Właśnie mam. Wystarczająco długo usiłowałem rozwikłać tę zagadkę, zdrowie zszarpałem. Nie wyjdę stąd, zanim się nie dowiem, o co tutaj chodzi.

Pastor wydawał się przerażony. Wstawał, to znów siadał, chodził po pokoju załamując ręce.

– O dobry Boże, jeszcze tego brakowało! – wzdychał. – Czy ta męka nigdy końca nie będzie miała?! Jestem przecież na wszystko gotów, żeby tylko spokój osiągnąć. O Boże!

Pozwoliłem mu się wyżyć. Zdecydowałem postawić wszystko na jedną kartę. Sam byłem zdziwiony: dlaczego tak kurczowo trzymam się tej historii? Czekałem. Pastor zamilkł. Stał odwrócony plecami.

Kiedy znów spojrział na mnie, w oczach miał łzy.

– Pan nie wie, czego ode mnie żąda – powiedział bezdźwięcznym głosem. – Gdyby pan wiedział, może by zostawił i mnie, i całą sprawę w spokoju. Pan nie ma z tym nic wspólnego – powtórzył.

Znalazłem się w trudnej sytuacji. Czemu by właściwie go nie usłuchać? Czy to urażona ambicja zmusza mnie do udowodnienia swojej racji? Bo logiczne rozumowanie już zawiodło. Zdaje się, że tutaj chodzi o coś zupełnie innego, o coś bardzo istotnego. Tylko nie potrafię tego wyjaśnić, przystroić w słowa... Może by tak spróbować?

– Niech pan siada i słucha – powiedziałem stanowczo.

Usiadł.

– Nie jestem chrześcijaninem i nie chcę nim być – ciągnąłem. – W tej sprawie jest jednak coś, co zachwiało moją równowagę, co mnie męczy, prawie od początku. Pan tego nie rozumie, ale właśnie dzięki tej historii zacząłem jakby rozliczać się sam przed sobą ze swego postępowania, zacząłem badać nie znaną mi granicę. – Uśmiechnąłem się. – Niech będzie, co chce, lecz nie zaznam spokoju, póki jej nie przekroczę. To nie jest zwykła dziennikarska ciekawość. Nie szukam sensacji. Pana sprawa stała mi się dziwnie bliska; zabrzmiało to może patetycznie, jeśli powiem, że stała się sprawą życia i śmierci. Właśnie dlatego muszę wiedzieć...

Jeśli pan nie powie, spróbuję to wyjaśnić sam. I nie ustąpię, póki nie będę miał pełnego obrazu. Pan może oszczędzić mi trochę mojej pasji i trudu...

Milczał.

– ...Jeżeli nie z innych pobudek, to choćby dlatego, żeby mi pomóc.

Drgnął.

– Jak mogę panu pomóc? Przecież to wszystko pana nie dotyczy.

Czułem się zmęczony.

– Niech pan mówi lub nie, ja muszę skończyć, co zacząłem. Choćby dla własnej satysfakcji, dla spokoju sumienia. Skonstruowałem model życia, który powinien być trwały i stabilny. W tym... w pana sprawie zaistniało coś, co naruszyło tę równowagę. Muszę pojąć i wyjaśnić. Oszaleję, jeśli mi się nie uda...

Westchnął głęboko.

– A już myślałem, że wszystko zakończone, że dług spłacony. Oczywiście... – Dotknął mego ramienia. – Dobrze, zgadzam się, opowiem panu, ale to tylko do pana wiadomości, nie do prasy.

Skinąłem głową. Wszystko jedno. Byleby mówił, byleby wreszcie mógł pojąć.

– Proszę pamiętać... Więc tak... Chyba najlepiej zacząć od końca. Tak. Ma pan rację. Nie zabiłem...

Chciałem mu przerwać, ale ręką nakazał milczenie.

– Odgadł pan, choć nie wiem, jak do tego doszło. Tak. Zbrodni nie popełniłem, ale ją spowodowałem. Ponoszę odpowiedzialność za to, że ktoś słaby wziął na swoje barki ciężar mordu. Moje życie ułożyło się tragicznie, a brzemień powiększyła jeszcze ta zbrodnia. Zrozumiałem, że muszę odpokutować.

Nie umiałem znaleźć słów. Myśli kłębiły się jak oszalałe.

Czyli nie on. Ktoś inny. Kto? Przez moment błysnęła mi myśl. Chyba zgadłem.

– Ależ takiej zbrodni nie można zostawić bezkarnie!

Zmęczony potrząsnął głową.

– Pan patrzy na to ze strony czysto formalnej. Dla mnie jest to sprawa sumienia. Gdyby mnie nie było, gdyby wina i kara nie przywiodły mnie do tego miasta, nie byłoby zbrodni. Więc ja jestem jej promotorem, jestem tym, który wszystko wprowadził w ruch. Na mnie spoczywa główna odpowiedzialność. Muszę odpokutować za swoje czyny.

– Przecież pan nic złego nie uczynił!

– Przypuszczałem, że pan nie rozumie. Przed Bogiem jestem winien. Przyjąłem wszystko na siebie, żeby zmazać chociaż część winy. To prawda, że sfałszowałem zeznania. Przyszedłem na miejsce zbrodni już po jej dokonaniu. Tamtego człowieka widziałem na schodach. Był w szoku. Płakał przebiegając koło mnie. Drzwi zostawił otwarte. Kiedy wszedłem do pokoju, natychmiast zobaczyłem, co się stało. Zrozumiałem także, dlaczego. Zrobiłem rachunek swojego życia. Wynik pan zna.

Patrzyłem na niego zdumiony.

– Dobrowolnie wziął pan na swoje barki cudzą zbrodnię?

– Musiałem tak zrobić, żeby odpokutować...

– Pan chyba zwariował!

– Możliwe. Ale tak sprawa wygląda. Bardzo zawiniłem przeciwko Bogu i swemu powołaniu.

– Co to ma do rzeczy?!

– Bardzo dużo. Tu jest źródło wszystkiego. Byłem złym pastorem. Źle wypełniałem swoje obowiązki. Winien jestem grzechów, które popełniałem. Na Boga! Czy pan tego nie rozumie?! Przecież czytał pan moje notatki. Kamienna nieczułość mojej wiary zabiła mi żonę i nie narodzone dziecko. Ich krew splamiła moje ręce. A potem ta zbrodnia... Maria, do której się tak przywiązałem, która pomogła mi... Ona mnie rozumiała, łagodziła mój ból. Była dobra. – Głos mu się załamał. – Ją też zabiłem. Tak. Ja to uczyniłem, to przeze mnie! Jestem winien tej zbrodni i muszę ponieść karę. Muszę, choćby dla samego siebie...

Miałem tego dosyć. Zerwałem się. Każdy nerw we mnie drżał. Co on sobie wyobraża, kogo udaje? Przecież to wariat i w dodatku zarozumiały! – Czy pan rozumie, co pan nawyprawiał? Nadal unosi się pan w sferze filozoficzno-religijnych dociekań? – Trwoga mnie ogarnęła. – Czy ja, niewierzący, mam uczyć duchownego, co to jest chrześcijaństwo?

Przecież w tej pana sprawie nie ma krztyny zdrowego rozsądku! Żeby tak zboczyć z drogi...

– Nie rozumiem.

– Cholera! Dziecko by zrozumiało, ale pan nie, choć jest pan po wyższych studiach! Nabiegałem się po pańskich ścieżkach. Byłem w pana parafii. Słuchałem, oglądałem. Czytałem pańskie wyznania. Są naprawdę wstrząsające. Do diabła! Zdołałem nawet zdobyć się na współczucie dla pana. I jeszcze moje własne doznania, choć mimowolne... Dla mnie może się pan smażyć w ogniu piekielnym, ale niech się pan nie powołuje na sumienie chrześcijańskie!

– Muszę odpokutować. Nie mam wyboru.

– Właśnie. Tu mieści się dla pana cały problem, tu jest przestępstwo! Ja, moje, mnie! Zawsze tylko „ja”! – Czułem się chwilami, jakbym był wśród martwych. Ginie sprawa najistotniejsza i najważniejsza, a ten człowiek ciągle nie wie, o co chodzi!... – Czy kapłaństwo oślepiło pana do tego stopnia, że nie wie pan, co czyni? Jeśli pan jest miłosierny, proszę się zastanowić nad cholernym nieszczęśnikiem, którego zbrodnię przyjmuje pan na siebie! To przecież jemu wyświadcza pan tę chrześcijańską przysługę. A czy pan wie, dokąd go to zaprowadzi?...

– Będzie wolny.

– Taka kanalia i wolny! Właśnie! Czy zna pan podstawowe prawo życia? Człowiek za wszystko musi płacić. On też.

– Zapłacę za niego. Winien jestem.

– Może i winien... – Cały byłem spocony. – Może winien. Każdy z nas winien jest w ten czy inny sposób. Może jest pan winien – ale choćby pan próbował do końca świata, nie odpokutuje pan za jego zbrodnię. Człowieku, przecież nie jest pan Jezusem Chrystusem!

Mój okrzyk odbił się echem. Jezus Chrystus! Wreszcie to wypowiedziałem. Jakbym skalpelem przeciął wezbrany wrzód i ropa z niego trysnęła. Zadrzałem. Więc o to chodziło. Wymówiłem to, co nękało mnie długo, jak choroba! Jakiś największy ból ucichł. Wypowiedziałem to imię! Odetchnąłem z ulgą. W każdym razie fakt został wreszcie ujawniony.

– Przez cały czas mnie to dręczyło – ciągnąłem już spokojnie. – Właśnie ta imaginacja, zniekształcanie obrazu. To nie pasowało do portretu. Nie mogło pasować, bo od samego początku pozbawione było sensu. Analizowałem poszczególne etapy pana życia i próbowałem zrozumieć, co się stało, z jakiego powodu... Wiele było zwykłych spraw ludzkich, ale zawsze coś zostawało nie dopowiedziane. Gdzieś tkwi błąd.

Nie winię pana, już nie. Trudno jest być duchownym, nie zamieniłbym się z panem rolami. Naprawdę nie. Kiedy my ludzie bierzemy się za coś, często wypaczamy to, zniekształcamy... Naprawdę nie jest łatwo być synem Boga właśnie w dzisiejszych czasach.

Pastor, oparty o stół, rękami podtrzymywał głowę.

– Mówił pan, że krew pali dłonie – ciągnąłem. – Czy naprawdę pan wierzył, że wszystko się zmaże, jeśli przyjmie pan na siebie zbrodnię innego? Jest pan chrześcijaninem. Ja nie śmiem nazwać tak siebie. A jednak wiem, że postępowanie pana, choć płynie ze szczerzej intencji, jest wyzwaniem rzuconym Bogu. Przecież chciał pan wejść na piedestał Boga, aby sądzić ludzi...

Drgnął, jakby rażony piorunem. Bezlitośnie mówiłem dalej:

– W tym właśnie cały problem: dostać się na piedestał Boga! Kiedy zaczęła się ta historia, powiedziałem sobie, że kiedy przyjdzie czas, umyję ręce jak Piłat. Pomyliłem się. To nie jest takie proste. Tkwią w bagnie zła po same uszy i jakoś muszę się z sobą uporać. Sam zrobię rachunek sumienia. Ale przynajmniej wiem, jak sprawy wyglądają...

– Sądziłem, że postępuję słusznie – powiedział cichym głosem. – Zawiniłem i chciałem to odpokutować. Winien też jestem śmierci Marii...

– Może jest pan winien, ale jej pan nie zabił.

Kiedy to powiedziałem, błyskawicznie przemknęło mi przez myśl, jak groteskowe jest życie człowieka. W Kościele czuje się maleńki, ale poza jego obszarem wciąż na nowo pcha się na miejsce Boga! Jeden może zmieniać treść Bożego Słowa, drugi w inny sposób... Gdzie spojrzysz, wszędzie dowolna interpretacja. Utworzyły się całe systemy zdeformowanych myśli. Jaka obłuda! O biedny Jezu! Czyż tak mało Ciebie poznali, tak niewiele nauczyli się od Ciebie? Każdego obchodzi tylko własne ja i każdy zgarnia dla siebie. Byleby zyskać jakieś przywileje, byleby było wygodniej.

Jakie to wszystko obmierzłe! A przecież i ja jestem wśród nich. Jeden lepszy od drugiego. Kiedy trzeba, odwrotnie zakładają szkła, żeby widzieć Boga w odpowiednim pomniejszeniu, żeby się zmieścić w małym świecie drobnomieszczaństwa i kompromisu; A my, przerażająco mizerni słudzy Boga, podajemy sobie ręce by bronić przywilejów i systemów. Uważamy, by nie za dużo Jezusa wziąć naraz! Nauczyliliśmy się brać Go maleńkimi porcjami. Za dużo mogłoby zaszkodzić! Mogłoby zmienić nasze życie! Odrobina wystarczy. Tyle co do smaku.

Jezu biedny! Jezu źle rozumiany! Jezu, któremu miejsca nie możemy znaleźć!

Wreszcie spojrzałem inaczej na siebie, na swoją duszę. Ujrzałem w końcu jej obłudę. Przekroczyłem granicę, której się tak bałem.

Oślepił mnie nielitościwy snop światła prawdy. Wdarł się w każdy zakątek, spenetrował całe moje życie. Widok nie był wesoły. Ale i taki moment musi nadejść. Moment prawdy. Chociaż raz w życiu trzeba otwarcie spojrzeć na siebie, w głębię swojej duszy.

– Nie oskarżam pana ani nie mam zamiaru sądzić – powiedziałem do pastora, który wciąż krył twarz w dłoniach. – Takie jest życie i jego ułomności. Właściwie jestem panu wdzięczny, bo dopiero teraz ujrzałem siebie. Te refleksje pomogą mi zmienić życie. To musiało nastąpić...

Pastor podniósł głowę, spojrzał na mnie.

– Boże mój, jaki byłem... jak człowiek może...

– Człowiek może – powiedziałem zmęczony. – Właśnie człowiek.

– W celi – powiedział pastor zdławionym głosem – wahałem się, walczyłem z sobą. Byłem jak w potrzasku. Wciąż zastanawiałem się, czy słusznie postąpiłem. I powoli upewniałem się, że tak. Ta pewność była moją deską ratunku, w niej upatrywałem swoje wybawienie.

– Jak Münchhausen, który stanął na grzbiecie konia i za włosy wyciągnął z bagna siebie i swego wierzchowca!

Tak, może tak... O Panie Boże, co teraz będzie, co zrobić?

Zastanowiłem się.

– Chyba najlepiej nic. Na razie. Niech pan to przemyśli. Ja uczynię podobnie.

Potrzebny był czas i spokój. Rozgorączkowanie musiało minąć.

Wstał i podszedł do mnie.

– Ma pan rację... Gdyby to nie wyglądało śmiesznie, podziękowałbym panu... Za wszystko...

Spróbowałem uśmiechnąć się. Uścisnąłem mu rękę.

– Wszystko powoli wyjaśnimy.

Ale jak, nie wiedziałem.

Kiedy znalazłem się poza budynkiem więzienia, nadal byłem jak w szoku po tym, czego doznałem i co usłyszałem. Dotychczas trzymałem się z dala od chrześcijaństwa. I nagle poczułem żal do Kościoła, że nie umie należycie rozsiewać ziarna swej nauki.

Może ci, którzy żyją bliżej religii, widzą to inaczej, łatwiej przyswajają sobie pewne sprawy. Ale moim zdaniem Kościół jako instytucja społeczna jest potężną skamieniałą fasadą, która nie daje żadnego wyobrażenia o życiu wewnętrznym. Jak konserwatysta, który ze wszystkich sił wciąż buduje monumentalne gmachy. To jest państwo w państwie, które pilnie strzeże swoich pozycji.

I jeszcze jedna sprawa. Prawda, że w tym gmachu trwa ożywiona działalność. Ale skoro jest to Kościół Chrystusa, dlaczego tak mało daje się wzorów do naśladowania? Owszem, mówi się o wewnętrznej odnowie Kościoła, o nowym sposobie myślenia, o samokrytyce, o braku uprzedzeń w nowej teologii.

Wszystko to dobrze. Ale czy dosyć, aby przeprowadzić odnowę? Odnowę, której potrzebuje zwykły człowiek dla swej duszy? Człowiek, którego wciąż spotykają rozczarowania... A może potrzebny jest większy wstrząs, który by raz na zawsze odrzucił skostniałe formy i na czoło wysunął prawdę?

I jaki powinien to być wstrząs?

Czy taka odnowa może nastąpić? Czy nie za wielkie wymagania stawiamy w stosunku do zwykłych śmiertelników, którzy prowadzą sprawy Kościoła?

Spostrzegłem, jak bardzo zbliżyłem się do Kettunena. Stało się to mimo woli. Może dlatego próba jego ofiary jest niemal moją sprawą osobistą.

Założenie było humanitarne, szlachetne: wziąć na siebie czyjeś przestępstwo, nawet zbrodnię. Uzasadnienie takiego postępowania też było logiczne: wątpliwe, czy zaistniałaby zbrodnia, gdyby nie było Kettunena. Bardzo prawdopodobne, że do tego by nie doszło.

A jednak powzięta przez pastora decyzja była mylna od podstaw.

Uśmiechnąłem się do swych myśli. Przecież w tej sprawie zafrapował mnie głównie Jezus! O Niego się bałem, o interpretację Jego myśli. Albo inaczej, że odsuwa się Go na bok, że się wypacza Jego naukę.

Powstała paradoksalna sytuacja – ja, bezbożnik, bronię praw założyciela religii chrześcijańskiej. Jego pozycji, pozostawiania tym, kim jest!

Dziwny jest ten świat i człowiek dziwny.

Jaka demoniczna siła pcha człowieka na piedestał Boga?

Odwieczna walka o władzę, o byt. Wielcy i mali dyktatorzy są do siebie podobni, a tych małych pełno jest w każdym społeczeństwie, począwszy od komórki rodzinnej. Czemu człowiek wiecznie chce kimś rządzić, mieć w rękę los innego człowieka?

Jest jeszcze problem podziału pracy i odpowiedzialności. Myślę o aparacie przymusu, o ingerencji w czyjś wewnętrzny świat. Przed taką dyktaturą się wzdragam!

Jakże trudno jest żyć i być człowiekiem!...

Jakże bardzo trudno jest żyć na wzór Jezusa.

Rozmyślając chodziłem po ulicach portowych. Nawet nie dostrzegalem ludzi. Była wiosna. Często tu przychodziłem, marząc o dalekich wozach. Byleby szybko wyjechać, byle zmienić warunki, otoczenie!

Czasami udawało się te marzenia realizować. Wyjeżdżałem. Ale wracałem pełen rozczarowań. Nigdzie nie mogłem znaleźć nic naprawdę nowego ani osobliwego. Owszem, była inna architektura, inny standard, inne obyczaje – w gruncie rzeczy wszędzie świat był do siebie podobny.

Gdzie znajdę coś naprawdę nowego, oryginalnego?

Jaką drogą można do tego dojść?

Westchnąłem i poszedłem dalej.

W głębi duszy wiedziałem, jaka droga prowadzi do nowego i bogatego w treść życia.

Nie byłem tylko pewien, czy zdołam jeszcze ją przebyć.

12

Wieczór był chłodny. Po południu padało i niebo nadal zasnuwały brudnoszare chmury. Czuję się zmęczony i zmarznięty. Czekałem już od paru godzin.

Nasunąłem kapelusz głęboko na czoło i spacerowałem dalej. Nie mógłbym chyba być policjantem, chodzić bez końca wieczorami i nocami. Teraz wiedziałem, czym to pachnie. Roześmiałem się.

Bo w pewnym sensie bawiłem się w policjanta.

Nie spuszczałem z oka wejścia do drewnianego domu. Dwa razy podbiegałem bliżej, kiedy ktoś tam skręcał. Ale wciąż alarm okazywał się fałszywy. Za każdym razem byli to mieszkańcy domu.

Zmrok zapadł.

Światelko ze składu opałowego padało na bramę wejściową. Stałem i zacząłem nasłuchiwać. To chyba Janne dla zabicia czasu, no i dla uspokojenia, rąbał drewno. Daj Boże, żeby wszyscy byli tak opanowani!

Może lepiej przejść na podwórko? Ale stamtąd trudniej obserwować dom i wejście. A tu, spoza drzwi przeciwległego budynku, widać jedno i drugie. Przecież zdążę!

Może nic się nie uda? Spojrzałem na zegarek. Czyżbym się przeliczył?

Parę dni temu nakłoniłem Jannego do gadania. Pomogła forsa.

Stosowałem prośby i groźby. Upoważnienia policji nie miałem. Janne wiedział o tym. Bał się jednak o swoją skórę.

To była cała rozgrywka o prawdę.

W kółko przypominałem mu, że widział prawdziwego zabójcę, że widział dwóch mężczyzn, z których jeden był mordercą. Więc popełnił – twierdziłem – przestępstwo, ukrywając ten fakt.

– Nic nie wiem, nie pytali mnie, to nie mówiłem – powiedział wreszcie przyciśnięty do muru.

Nie dysponowałem żadnymi dowodami. Argumenty dla sądu miałem znikome. Jeśli Janne odmówi pomocy, nigdy nie udowodnię, że Kettunen jest niewinny.

Roztrzęsiony, cuchnący denaturatem staruszek był koronnym świadkiem. Postanowiłem rozegrać scenę z Janne jako głównym bohaterem. Żeby wstrzymać dotychczasowe postępowanie w sądzie, trzeba znaleźć mordercę i nakłonić go albo zmusić do zeznań. Nie było innego wyjścia.

W końcu wraz z chciwością wróciła mu pamięć i odwaga. Owszem, widział jeszcze jednego mężczyznę, który wyszedł przed pastorem. Był jakby zamroczony lub pijany. Szedł, to znów biegł po podwórku zataczając się. Mruczał coś do siebie.

Na policji Janne nie wspomniał o tym, bo im mniej ma się do czynienia z glinami, tym lepiej. Spytali, czy widział pastora i kiedy. Odpowiedział na to. Po co miałby jeszcze dodawać coś od siebie? Później, jak mówił, cieszył się, że najprawdziwszy pastor przyznał się do winy. O tamtym zapomniał. Raz duszpasterza przydybali! A to gratka! Nawet odciski palców pasowały!

– Coś takiego... – dziwił się teraz. – To pan mówi, że on niewinny?!

Dobrze, że wziąłem butelkę gorzały i odpowiednio ją dawkując, uzyskałem informacje. Banknot też spełnił swoją rolę.

Obmyśliłem szczegółowy plan gry. Janne tylko zastrzegął, żeby mu się nic złego nie stało. Forsę zatrzyma, nawet jeśli wszystko spali na panewce. Musiałem się zgodzić. Żądania i tak nie były wygórowane.

Dwóch pijaków kręciło się po ulicy koło drewniaka. Bałem się, że nam przeszkodzą. Na szczęście zakosami przeszli dalej.

Wciąż cisza. Wychyliłem się zza drzwi i wyszedłem na ulicę. Przez szparę dochodziło światło ze składu opałowego. Ale rąbanie drewna ustało.

Czyżbym się mylił? Jeśli się nie uda, to koniec gry!

Drgnąłem. Kilkadziesiąt metrów ode mnie zatrzymała się taksówka. Czyżby on?...

Z samochodu wysiadł mężczyzna. Taksówkarz odjechał. Nieznajomy zaczął iść w moim kierunku. Schowałem się za domem i czekałem. Czuję, że serce wali mi jak młotem. Zastanawiałem się, czy mężczyzna wejdzie do budynku, czy też pójdzie dalej.

Stanął. Przez moment patrzył w ciemne podwórko, potem rozejrzał się. Wstrzymałem oddech. Czy jest to ten człowiek, na którego czekałem?

Podszedł do składu, szarpnął drzwi, otworzył je i zamknął za sobą.

Cichutko podszedłem i nadstawiłem uszu. Przez moment było cicho. Przypuszczalnie mężczyźni spoglądali na siebie, taksowali siły. Potem Janne powiedział:

– Zamknięte. Dziś już nie sprzedaję.

– Stul gębę! – rzekł nieznajomy niskim głosem. Widać było, że ledwo panuje nad sobą. – Co, do cholery, znaczy ten list?

– Aha! O to idzie!...

– Nie migaj się. Wiesz dobrze, o co chodzi. Chodź no tutaj. Czego chcesz?

– Niczego. Chcę pogadać.

– Aha! Chodź no, dziadku, bliżej, to pogadamy! – Mężczyzna jakby umyślnie ściszał głos, ale i tak słyszalna w nim była nienawiść. – Skąd masz mój adres?!

– Właśnie, więc adres...

– Nie kręć, bo ci... Kto ci go dał?

– Mówię, że policja...

– Łżesz! Takiemu jak ty policja nic nie daje. Podejdz tutaj! Kto ci dał?!

– Od sąsiadów, przysięgam, że od nich!...

W duchu podziwiałem Jannego. Musi się udać! Wszystko idzie lepiej, niżbym się spodziewał.

Mężczyzna zastanawiał się przez moment.

– Niech tam! Choć i tak ci nie wierzę. Czego chcesz?

– Chciałem pogadać.

– O czym? – zapytał mężczyzna i splunął.

– Choćby o tym, że widziałem pana po tej zbrodni.

– I co z tego?!

– Kiepsko się składa. Pan wtedy spotkał pastora, no nie?

– Nie twój interes!

– Nie mój, ale wtedy nie zgłosiłem i teraz by trzeba naprawić. Bo potem powiedzą...

– Gadaj, co ci ślina na język przyniesie. G... mnie to obchodzi.

– Chyba trzeba – głośno rozmyślał Janne. – Bo też wyglądał pan wtedy jak... nieprzytomny...

– Nikt ci nie uwierzy! Gadaj, co chcesz!

– Nie wiadomo, bo pastor odwołał zeznania.

– Co za głupstwa pleciesz?! – Głos pełen zdumienia.

– Tak. Teraz mówi, że jest niewinny. Mają to znowu wałkować.

Janne spisuje się na medal – myślałem. – Właśnie tak go uczyłem, by mówił.

– Co im powiesz? – W głosie obcego czaiła się groźba. Przsunąłem się bliżej wejścia.

– Jeśli się nie dogadamy...

– Chcesz forsę?

– Tego zawsze brakuje.

– Więc o to ci chodzi!

– To nic złego. Myślałem, że dojdziemy do porozumienia.

– Myślałeś, że dostaniesz szmal?!

– Jak się zgodzimy...

– Bo pewnie to ja zabiłem?!

Wstrzymałem oddech.

– To nie moja sprawa.

Czułem, że Janne zaczyna się bać.

– A czyja?! – Widać było, że mężczyzna jest zdenerwowany. – Przecież chciałeś rozmawiać, pamiętasz? Myślisz, staruchu, że gdybym zabił, tobym ciebie pieniędzmi uspokajał?! Jak złapię siekiere...

– Przestań pan, ja nic...

Słychać było trzaski rzucanych polan. Janne cofał się pewnie do składu. Już brałem za klamkę, żeby ruszyć z pomocą, ale jeszcze na moment się wstrzymałem.

– Ze mnie, dziadu, durnia nie będziesz strugał!

– Nie... Niech pan zostawi... ja przecież nic...

– Stul mordę! Myślisz, że takiej kanalii daruję, takiemu pijaczynie? Wybij to sobie z głowy! Trzeba było milczeć, do jasnej cholery! Ten list przypieczętował twój los!

– Nie, ja obiecuję...

Ale mężczyzna wpadł w furję.

– Mówisz, że pastor się wypiera?! Mnie do tego nie wciągną! Ani ty, ani nikt inny. Pastor ma, czego chciał. Czemu nie zostawił Marii? Po co tam chodził?! – Głos mu zadrżał. – A ona... udawała panią. Rozkazywała. Mnie wyrzucała. Więc ja...

– Zabił ją pan?! – Czułem, że Janne jest w śmiertelnym strachu. W jego głosie czaiły się łzy.

– Tak! Po coś nos wtykał?! Tak! Zabiłem, cholera, ja zabiłem, zabiłem!... A teraz zamknę ci gębę. Na zawsze!...

Szybko otwarłem drzwi. Zza tylnej ściany komórki runął stos drewnianych i wyskoczył stamtąd na pomoc Tane, blady jak płótno. Janne leżał na ziemi, niedaleko niego stał mężczyzna z siekierą. Chwyciłem go od tyłu i wykręciłem ręce. Zaczęliśmy się szamotać wśród drewnianych, wiórów i opiółków. Na ziemi jęczał przerażony Janne, a Tane i ja usiłowaliśmy złapać rozwścieczonego mężczyznę. Wreszcie potknął się o kozły. Dopadłem go. Tane trzymał za ręce i włosy, ja uderzyłem go w szczękę, raz, drugi.

Zamroczyłem go, ale jeszcze kłął i pomstował. Złapałem kij brzozy i zamierzyłem się.

– Prze...stań – zajęczał. – Już nie... Ja i tak... powiem...

Zwiążaliśmy mu ręce sznurem od bielizny.

Siedział na kozłach. Dysząc wpatrywał się w ziemię. Obok niego Janne wyrzekał:

– Och, gdybym to ja wiedział, gdybym wiedział... Przecież by mnie zabił!

– Już po wszystkim – powiedziałem zmęczony. – Tane, dzwoń na policję.

Spojrzałem na mężczyznę, który siedział przede mną. Marynarkę miał rozpruta, całą w piachu i wiórach. Ja też chyba lepiej nie wyglądałem.

– No cóż, Salmi. Spotkaliśmy się znowu – powiedziałem z westchnieniem.

Nie odpowiedział.

– Dodam jeszcze – powiedziałem – żebyś nie miał złudzeń: wszystko mam nagrane. Tam jest magnetofon. Zresztą świadków nie brak.

Nie powiedział nic więcej. Oparł głowę na rękach i nagle skurczył ramiona. Płakał cicho, bezgłośnie, może załamany własną tragedią, a może z ulgą, że tak się stało.

Nie wiem. Jeszcze nie wiem.

Przyjechała policja. Wyjaśnienia trwały dość długo. Zaalarmowany Vanttinen przybył osobiście i wygłosił tyradę o biurokracyzmie w organach policji. Eino Salmi przyznał się do winy. Szybko, jakby się spieszył, wyjawiał wszystkie szczegóły potwornej zbrodni.

Zresztą Vanttinen też nie miał wątpliwości, kiedy mu wszystko opowiedziałem.

Dopiero nad ranem wróciłem do domu. Tanemu obiecałem, że spotkamy się nazajutrz w „Kawiarze”.

Czułem się zmęczony i przygnębiony. A jednak list, który Janne napisał pod moje dyktando, zrobił swoje. Mamy bezsporne dowody. Kettunen zostanie zwolniony. W to nie mogłem wątpić.

Mimo to przygnębienie nie opuszczało mnie.

Jakże marne jest wszystko na tym świecie – myślałem.

Od początku do końca.

13

Czarodziejski niemal zwrot w sprawie sądowej i jej szczęśliwe zakończenie nie wzbudziły takiej sensacji jak początek procesu. Na moją prośbę nie występowaliśmy w charakterze świadków. Tane czuł się wprawdzie zawiedziony, ale pocieszał się, że słuchaczy znajdzie i tak w „Kawiarze”.

Po paru dniach podano do wiadomości publicznej, że w procesie o zabójstwo młodej ekspedientki dokonano nowego aresztowania. Stwierdzono również, iż Kettunen został zwolniony i że jego poprzednie zeznania spowodowane były zaburzeniami umysłowymi, doznanymi wskutek ciężkich przeżyć osobistych.

Powoli sprawa Kettunena zniknęła ze szpalt prasy. Nawet „Nowiny” nie poświęcały jej uwagi. To, co miało być sensacją, okazało się zwykłą tragedią ludzką.

Zakończenia sprawy nie opowiedziałem nawet w wydawnictwie. Wyglądało zresztą, że i tam nikt się tym nie interesował. Przynajmniej na razie nikt nie przynaglał do relacji.

Opracowywałem jakieś inne historie. Starłem się nie myśleć o Kettunenie. Rzadko to się udawało.

Zastanawiałem się nadal nad motywami jego postępowania oraz nad problemem religii i chrześcijaństwa.

I nad sobą.

Analiza obcego człowieka stała się analizą mojej duszy. Wciąż od nowa pytałem siebie, dlaczego wtedy bałem się o Jezusa. Analizowałem problem winy i pokuty. Czy bez tego nie można żyć? Czy nie można żyć tylko dniem dzisiejszym, zasklepić się we własnej skorupie?

W tym okresie spotkałem pewnego przyjaciela, komunistę. Był to dziennikarz, człowiek nieprzeciętnie mądry. Przewidywał, iż warunki społeczne będą ulegały przekształceniom tak długo, aż problem winy przestanie istnieć. Jest to kwestia odpowiedniego wychowania. „Na razie – mówił – na obecnym etapie Kościół ma pewną rację bytu, bo człowiek wciąż jeszcze odczuwa potrzeby religijne. Ale w nowym społeczeństwie, zgodnie z zasadami marksizmu-leninizmu, potrzeby te znikną, a wówczas i Kościół nie będzie potrzebny.”

Chciałbym to widzieć – myślałem w głębi duszy. – Marksizm ma wiele racji, jeśli idzie o wpływ warunków społecznych na jednostkę. Ale wzajemne oddziaływanie na szersze społeczeństwo i człowieka przedstawione jest zbyt jednostronnie. Przecież człowiek to konstrukcja bardzo złożona. Wzrost stopy życiowej i poprawa warunków socjalnych nie rozszerzają automatycznie duchowej sfery jego życia.

Coraz bardziej nabierałem przekonania, że człowiek nie żyje samym chlebem. Istnieje świat irracjonalny. Czemu jego siły inspirującej nie nazwać Bogiem? Dlaczego niektórzy walczą z takim pojęciem i z prawdą, która się z tym wiąże? Jak twierdzą niektórzy radykalni teologowie z Ameryki czy Kontynentu, umowny Bóg, który mieszka w niebie, przedstawiany jako staruszek z długą brodą, umarł. Przypuśćmy, że tak jest. Ale wtedy przyska tylko iluzja, odsłania się kotara i stajemy twarzą w twarz z niezbitą prawdą: faktem, że w człowieku i jego życiu działają siły, których rozmiar zaledwie w ułamkach części możemy pojąć rozumem.

Pomyślałem wówczas, że my, przedstawiciele chrześcijaństwa zachodniego, jeszcze bardzo wiele musimy uczyć się o Bogu, który istnieje. Za mało to rozważamy, nie pozwalamy rozwijać się sferze swojej myśli. Za dużo biegamy i za dużo mówiliśmy.

Horyzonty mego myślenia rozszerzyły się tak bardzo, że czułem się wprost oszołomiony. Nasz Bóg jest jeszcze bardzo mały, a ma On dość miejsca i możliwości, żeby stać się naprawdę wielkim.

Wciąż wydaje się nam, że gdzieś daleko na horyzoncie leży granica dnia i nocy, pełni życia i zmierzchu dnia, granica czasu.

Takie widzenie rzeczywistości uczy pokory.

Jakże mizerna jest moja wiedza.

Muszę znaleźć ciszę i spokój, by szukać następnych okruszków prawdy i składać je w harmonijną całość. Powoli i cierpliwie. Bez pośpiechu. Nie uzurpując sobie prawa wyłącznej słuszności.

Cząstką prawdy, jaką zdobywałem w tym okresie, był sens cierpienia. Tragedia Kettunena rzuciła nań światło i ja też miałem w tym swój udział.

Czy cierpienie jest potrzebne, czy ma sens?

Przeciwnicy Kościoła mają w swym arsenale wytarty slogan: „Wiarę chrześcijańską głosi się już prawie dwa tysiące lat, a przecież nie znikają wojny i cierpienia.” „Jeśli Bóg istnieje, dlaczego dopuszcza cierpienie?” Ja sądzę, że w jakiś dziwny sposób jest ono integralnie związane z naturą człowieka. Może właśnie tu tkwi jeden z paradoksów wiary chrześcijańskiej: trzeba dążyć do złagodzenia cierpień bliźnich, równocześnie akceptując cierpienie, uznając jego konieczność. Od czasów powstania chrześcijaństwa cierpienie było glebą, na której wyrastały najlepsze i najprawdziwsze wartości.

Prawda, że może się to łączyć z pożogą i zniszczeniem. Ale człowiek, który uznaje ból za integralną część swojego życia, zyskuje coś, bez czego byłby znacznie uboższy.

Wielokrotnie spotyka się ludzi, których cierpienie uwrażliwiło na niedolę bliźnich, stało się siłą napędową miłości bliźniego.

Takie były moje myśli w tym okresie. Czuję się innym człowiekiem, jakby do zmartwychwstałych tkanek zaczęło powracać życie.

Nie znaczy to, bym się zmienił. Czułem się taki sam jak przedtem, ani lepszy, ani gorszy, ani bardziej odporny na pokusy. Moje słabości były takie same. Ale problemy, jakie usiłowałem rozwiązać, a nieraz i odpowiedzi – zupełnie inne.

Minęło parę miesięcy. Poprawiłem rękopis; wciąż nie wiedziałem, czy kiedykolwiek go opublikuję.

Wówczas dostałem list od Kettunena.

Pisał go z wojewódzkiego więzienia w N. Poniżej zamieszczam go w całości.

Drogi Przyjacielu!

Chciałbym jeszcze raz podziękować i równocześnie zawiadomić Pana o miejscu swego pobytu. Może będzie Pan w tych stronach? Więc jednak jestem w więzieniu! Otrzymałem tu funkcję pastora. Sam tego chciałem i chyba się do tego nadaję. Bo mimo wszystko chcę pozostać duchownym, choć nie najlepszym byłem pasterzem.

Z pracy jestem zadowolony, choć warunki tutejsze mają swoje słabe strony, które trudno mi akceptować. Mimo że funkcja kapelana jest tu poniekąd nonsensem, wdzięczny jestem za zadanie, jakie mi powierzono. Sam w życiu bardzo zawiniłem i nie odczuwam najmniejszej pokusy, by zostać czylimś sędzią. Czuję się tu jednym z nich, wcale nie lepszym, może tylko pozornie nieco szczęśliwszym.

Tutaj nauczyłem się prawdy, że sąd jest sprawą Boga, a nie ludzi. Nie znaczy to, by obojętnie przypatrywać się złu. Wcale nie. Grzech nami włada, a nasze czyny są nieraz straszne – tym straszniejsze, im więcej bólu przynoszą bliźnim. Często nawet nie zdajemy sobie sprawy, ile zła uczyniliśmy. Nie rozumiemy, że gdzieś obok giną szlachetne ideały.

Przeraża mnie myśl o tym, jak lekko rzucałem niegdyś oskarżenia, prawilem moralny, nakazywałem bezwzględne posłuszeństwo wobec zakonu. Dopiero tutaj pojąłem, że źródła naszych poczynań sięgają nieraz odległych czasów, a nawet pokoleń. Nasz wpływ na bieg niektórych wydarzeń jest właściwie niewielki. Czyny morderców, zdrajców, złodziei nie są bardziej jednoznaczne niż moje. Kiedy człowiek głębiej pozna warunki życia tych ludzi, przeraża bezradność. Jakież mamy wpływ na spuściznę, którą otrzymujemy w momencie poczęcia, w chwili narodzin naszej osobowości? Już wtedy kładzie się na nas pierwsze brzemie, a życie powiększać je będzie nadal.

Mało wiemy o człowieku, jego duszy i jej zgodności z zakonem Bożym. Dlatego właśnie sąd powinniśmy zostawić Bogu. Nasz spokój zależy od Łaski, której poręczycielem jest Zbawiciel.

Wielekroć stawiałem sobie pytanie, czy Kościół nie powinien więcej uwagi i czasu poświęcać ludziom przebywającym w szpitalach i więzieniach. Nasza działalność tutaj jest wciąż marginesowa. A przecież można tu pogłębić wiedzę o człowieku i o Bogu, by łatwiej pojmować życie na wolności.

Nie wierzę jednak, bym jako pastor mógł wiele zdziałać. Boję się ingerować w życie bliźnich. Służba Boża jest tu zadaniem trudnym, nieraz przytłaczającym. Ale może jestem przydatny choćby wówczas, kiedy ich słucham i staram się zrozumieć, kiedy dobrowolnie wystawiam się na kpiny i ironię? Przyjmując na siebie czyjąś złość i nienawiść też można pomóc bliźnim. Stać się obiektem, na który przechodzi ładunek wściekłości. Myślę, że Kościół próbował nieraz odsunąć cierpienie, kiedy trzeba było je nieść bez skarg i szemrania. Jest to domena, w której powinniśmy więcej się uczyć od Jezusa Chrystusa.

Może to wydać się dziwne, ale zawsze się boję, kiedy jakaś grupa religijna, oczywiście w najlepszych intencjach, składa wizytę w więzieniu. Ludzie bardzo rzadko zastanawiają się nad tym, co można tutaj głosić, a czego nie. Któregoś dnia przyszedł przedstawiciel sekty religijnej i zaczął grzmieć: „Jesteście tu za grzechy swoje!” Oczywiście mówił prawdę. Ale tutaj, zresztą w ogóle w naszych czasach, człowiek czuje się tak przytłoczony, że nie można już zwiększać ciężaru. Trzeba im pomóc przez zbawcze słowa Ewangelii.

Kiedy człowiek rozejrzy się dookoła, widzi, jak długą drogę musi przebyć chrześcijaństwo, by stać się taką siłą, jaką być powinno. Przykre jest, że każdy krok postępu, tak bardzo ważnego dla klimatu rozmów w Kościele, pociąga za sobą skrywany, lecz zażarty atak zacofanej myśli. Wiąże się to chyba z naturą człowieka, bo identyczne zachowania obserwujemy w innych kręgach społecznych. Teraz rozumiem odruchowy bunt, demonstrowany przez młodzieżowy ruch ekstremistyczny i zaznaczający się w stylu życia młodzieży. Idealizm młodości i drobnomieszczańskie nawyki wykluczają się nawzajem. Fakt, że kupiecka natura człowieka potrafi bez skrupułów wykorzystać brak doświadczenia wiążący się z młodością, utrudnia jeszcze sytuację.

Rozliczyłem się tutaj ze swojej drogi życiowej i ze swoich błędów. Muszę jednak przyznać, że nie potrafiłbym znieść tego, co już jest przeszłością, gdyby mój Zbawca nie był blisko. Jak oszalały do końca zamykałem się w sobie i usiłowałem od siebie dodać coś do tego przymierza, którego tak bardzo potrzebowałem. Wdzięczny jestem, że pan wkraczając nie dopuścił do tego! Teraz rozumiem, że cały czas usiłowałem płacić za Łaskę. To pycha mnie, zarozumialca, pchała do rewanzu! Zostać bodaj męczennikiem – cóż za czarowna pokusa!

Mały człowieczek wciąż wdrapuje się na piedestał Boga, by brudnymi łapami kalać Jego świętość! Wciąż człowiecze ja pcha się naprzód. Więc jak Paweł krzyczę w udręce: „Któż mnie wyzwoli z ciała tej śmierci?” Nie potrafiłbym już żyć i działać, gdybym w głębi duszy nie był przekonany, że Bóg i tu nie żąda ode mnie nic nadzwyczajnego. Doprowadzając mnie do ostatecznej granicy, czyni to dla mnie samego, dla mego dobra, żebym pojął, żebym się ukorzył.

Wedle mnie i mnie podobnych nie sądzcie Kościoła. Potępiajcie brak ducha, ludzki egoizm, pychę, krótkowzroczność postępowania, brak miłości. Kościół mimo słabości i ułomności swoich członków wciąż głosi prawdę Bożą i przechowuje ją, niezależnie od naszej woli. Szczególnie w Eucharystii. I w słowie.

Pragnę, aby gorycz i jad przeszłości nie nękały mnie już więcej. Taka groźba ciągle istnieje i muszę z nią walczyć. Jeśli Bóg pomoże zmienić naszą postawę, nasz stosunek do otoczenia także się zmieni.

Miłość tworzy miłość, radość tworzy nową radość; gorycz rodzi tylko gorycz następną.

W swojej wierze jestem jak dziecko, które uczy się chodzić. Albo jak ozdrowieniec, który wstaje po długiej chorobie, wyczerpany niemocą. Każdy krok wymaga olbrzymiego wysiłku, każdy ruch ręki jest bardzo trudny.

Jestem już w trakcie rekonwalescencji, choroba powoli ustępuje. Umysł mam spokojniejszy, widzę problemy w należytych proporcjach. Rozumiem ułomność ludzkich możliwości, kornie godzę się na nią. Znowu czuję majestat Boga, i mimo wszystko wiem, że dobrze jest być człowiekiem! – przedziwną kompozycją cierpienia i radości, nadziei i rozczarowania, klęski i zwycięstwa. Gdy zabraknie któregoś z tych komponentów, życie staje się uboższe, następuje stagnacja. Natura ludzka pełna jest dopiero wtedy, gdy Bóg w niej zamieszkuje, kiedy jest w niej podstawową siłą.

Byłbym rad, gdybyśmy się mogli kiedyś spotkać. Czy znajdzie pan okazję, żeby tu przyjechać?

Chciałbym, aby życie pana było wypełnione treścią i sensem.

Łączę pozdrowienia...

Życie wypełnione treścią i sensem... Jak dobrze sformułowane życzenie.

Życie miałem chyba bogate w treść, ale sensu nie byłem pewien. Szczególnie wystrzegałem się myśli o śmierci. Nasza cywilizacja jest pod tym względem ogromnie wyrobiona i subtelna. Przecież w czasach pokojowych w ogóle nie widzi się zmarłych. Sprawy załatwiane są bezszelestnie. Śmiertelnie chorych przenosi się do izolatek. Prowadzą tam nawet boczne wejścia. A potem przedsiębiorstwa pogrzebowe załatwiają resztę. Widzimy tylko trumnę.

Bardzo dyskretnie.

Czy są to cienie naszej epoki, pozostałości zabobonu – czy wpływ laicyzmu?

Przez cały czas staramy się ukryć to, co i tak musimy zobaczyć.

Szum, hałas, gorączka, tempo, krzykliwe reklamy, jaskrawe światła neonów, nużące podróże, wyczerpująca praca – wszystko po to, aby podwyższyć stopę życiową, zwiększyć komfort.

Czy przed czymś uciekamy, wciąż dokądś pędząc? Jeśli tak, to skąd i dokąd? Czy nie porywamy się na coś, co jest z góry przesądzone? Najwyższy czas spojrzeć prawdzie w oczy...

Po tych refleksjach znowu wróciłem do szarzyny dnia codziennego.

Spojrzałem na list Kettunena. Tym razem pisał go na maszynie. Nieraz drobny szczegół ma wielkie następstwa. Gdyby w więzieniu użył maszyny, cała sprawa przybrałaby inny obrót. Pamiętam, jak mnie coś w jego piśmie tknęło. Jakieś skojarzenie. Przypomniałem sobie o koledze w redakcji, którego odręczne notatki kiedyś przeglądałem.

W rękopisie Kettunena była jakaś zbieżność z nimi. To rzuciło mi się w oczy i tak długo męczyło, aż uświadomiłem sobie: takie ślady zostawia tylko lewa ręka. Jest jakoś inaczej ułożona i to zostawia ślad na papierze.

Informacje, jakie później zdobyłem, potwierdziły moje przypuszczenia. Kettunen był mańkutom.

Czy mańkut mógłby popełnić zbrodnię ręką mniej sprawną? Znalezione ślady były odciskami prawej ręki. Musiałaby istnieć wyjątkowa okoliczność, która tutaj nie wchodziła w rachubę.

Ponieważ przez cały czas uważałem, że przestępstwo Kettunena jest sprzeczne z jego obrazem, jaki sobie wytworzyłem, takie odkrycie stało się idealnym rozwiązaniem.

Kiedy ujrzałem kartki z notatkami Kettunena, wiedziałem, że jest niewinny. Ale informacja nie jest jeszcze dowodem. Potrzebne były bezsporne fakty. Zdobyliśmy je później.

Miałem przeprowadzić analizę postępowania jednego człowieka. Zbierałem materiał, słuchałem, wypytywałem... Teraz, kiedy przeglądam zapisane kartki, widzę tylko mały wycinek.

Prawdy nie udało mi się jeszcze odnaleźć. Nie mogę podjąć statecznej decyzji.

Może doprawdy Bóg jest tu niezbędny?

W każdym razie muszę pomówić z wydawcą.

Powoli zastanowię się nad problemem, jaki się odsłonił, o az nad tym, jak ułożyć teraz swoje życie.

Muszę się zastanowić.

Europejski rozgłos tej powieści – mnożące się tłumaczenia, liczne opinie, w poważnej prasie – trudno byłoby tłumaczyć samą jej intrygą kryminalną. Wątek morderstwa młodej ekspedientki i akcja detektywistyczna, prowadzona na własną rękę przez przybyłego z miasta dziennikarza, rozwija się na przestrzeni całej książki, sprawca ujawniony zostaje w jej finale. Chodzi jednak o coś więcej: nie o to już najbardziej, kto jest winien. W miarę zbliżania się do zamknięcia akcji uwagę przykuwa coraz bardziej problem samej winy, jej źródeł i rozprzestrzeniania się w życiu ludzkim; zagadnienie winy rodzącej się niedostrzegalnie i narastającej aż do katastrofy w samym ognisku życia przykładowo nieposzlakowanego, bezkompromisowo oddanego sprawom wiary i moralności chrześcijańskiej. Czym jest, jaką rolę odgrywa, jaką postawę ma przyjąć chrześcijaństwo wobec ludzkich wykroczeń?

Ta dziwna książka, współczesna a jakby niedzisiejsza, bardzo skandynawska w narracji, surowa i niespieszna, nie zabiega o satysfakcję czytelnika. Pozostawia niepokojące pytanie zasiane głęboko u samych korzeni naszego wewnętrznego ładu.

Autor, urodzony w Helsinkach (1919), po ukończeniu teologii zajmuje się głównie dziennikarstwem chrześcijańskim jako dyrektor fińskiego centrum informacji kościelnej, a od roku 1977 – jest naczelnym redaktorem chrześcijańskiego pisma „Kotimaa”. Jest także autorem licznych książek dla młodzieży oraz dramaturgiem.

Książka *Przestępstwo pastora*, wydana w Helsinkach w roku 1968, została przełożona na języki: szwedzki, norweski, duński, niemiecki, islandzki i węgierski.